

INSPIRUJĄCY  
PRZEWODNIK  
DLA KAŻDEGO

NATIONAL  
GEOGRAPHIC

TRAVELER

# ROWEREM 18 PO POLSCE TRAS



POLSKA



KOTLINA KŁODZKA



TATRY

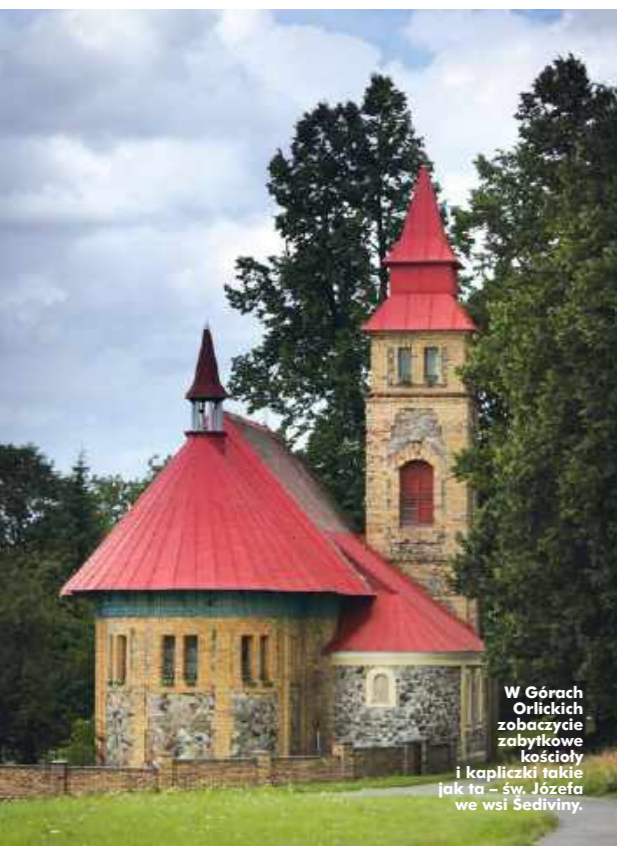


PODLASIE

TEKST PAWEŁ KEMPA

# Kotlina Kłodzka

CYKLOBUSY PO POLSKIEJ I CZESKIEJ  
STRONIE UŁATWIŁY JAZDĘ NA ROWERZE  
PO WYSOKICH GÓRACH.



W Górach Orlickich zobaczycie zabawkowe kościoły i kapliczki takie jak ta – św. Józefa we wsi Sediviny.



Błędne Skály wyglądają niczym z baśni. Ten skalny labirynt rozciąga się na pow. 22 ha.

Cyklobus to taki błyskawiczny teleport z turystycznej miejscowości w wyżej położone górskie szlaki.



Czeski gulasz z knedlikami – mącznymi lub ziemniaczanymi – to najbardziej pożywne danie u naszych czeskich przyjaciół.



Kto odważny, ten przecięśnie się przez szczeliny w drodze na Szczeliniec Wielki – najwyższy szczyt w Górach Stołowych.

**C**yklobus, wbrew pozorom, nie służy do przewożenia jednookich cyklopów, choć Góry Orlickie i Stołowe wokół Kotliny Kłodzkiej mogłyby posłużyć tym mitycznym gigantom za niezłe miejsce do ucztowania. Turystom na rowerach zaś góry i kotlina służą raczej jako teren do zwiedzania na dwóch kółkach. Do Kotliny Kłodzkiej dociera sprytny pojazd rodem z Czech – z przyczepą na rowery.

**ROWEREM PO ORLICKICH**  
Stoję na ulicy z nią, stoję twarzą w twarz – nucę pod nosem stary song i wpatruję się w tabliczkę wypisaną po czesku na przystanku w Kudowie-Zdroju. Jedną ręką trzymam swój górski rower, drugą poprawiam kask, gapiąc się na nieco zagmatwany rozkład jazdy czeskich cyklobusów. Jest 8.55, grzeje już czerwcowe słońce. Z małym opóźnieniem, ale wreszcie podjeżdża autobus z dziwnym ogonem.

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

Wychodzi kierowca, podnosi plandekę w przyczepie ciągniętej za autobusem, odsłaniając podwieszony rower i wolne stojaki. Łapię swojego górala, podaję mu rower, a on zręcznym ruchem zawiesza go za przednie koło. Za chwilę płacę kierowcy 30 koron czeskich. Warto mieć trochę drobnych, choć oczywiście można zapłacić w złotówkach, ale po zbojeckim przeliczniku rozbójnika Rumcajsa. – Ahoj! – witam się z innymi kolarzami górskimi i siadam na wolnym miejscu. Cyklobus to taki błyskawiczny teleport z turystycznej miejscowości w bardziej dzikie i położone wyżej górskie szlaki. Kudowa-Zdrój ma świetną bazę noclegową, wody mineralne, których można się napić wprost z ujęć w parku, Aquapark ze słoną wodą ogrzewaną ekologicznie bateriami słonecznymi i niezłe trasy rowerowe, ale te zapierające dech w piersiach są dopiero w pobliskich Górach Orlickich i Stołowych. Sęk w tym, że najszybsza droga do nich prowadzi pod górę, a do

tego ta w kierunku Zieleńca wiedzie ruchliwą drogą krajową nr 8, tak więc jazda rowerem wzdłuż niej to nic przyjemnego. Cyklobus pozwala zaoszczędzić siły i szybko przynosi do rowerowego rajku. Po kilkunastu minutach jazdy wysiadam w Zieleńcu tuż obok wyciągów i tras narciarskich pokrytych teraz żółtymi kwiatami mleczy. Większość Czechów jedzie jednak przystanek dalej, wprost do Masarykowej Chaty na Šerlichu. Tak też robię, choć pierwszy podjazd daje niezłe w kość. W Masarykowej zziąjany uzupełniam zapas wody w bukłaku na plecach i ruszam dalej. Jadę szlakiem po grzbiecie Gór Orlickich, wzdłuż granicy polsko-czeskiej, w kierunku Orlicy (1084 m), najwyższego wzniesienia tego pasma. Szczyt może niepozorny, zarośnięty drzewami, ale na polance stoją za to pomniki ku pamięci osób, które w przeszłości

wdrapały się tutaj: Fryderyka Chopina (w 1826 r.), Johna Quincy Adamsa – późniejszego prezydenta USA (w 1800 r.), czy cesarza Józefa II (w 1779 r.). Dalej jadę w dół czerwonym szlakiem. Las rzadnie trochę, a rowerowa trasa wiedzie wąską ścieżką między wysokimi trawami, które łaskoczą mnie w nogi, kiedy ocieram się łydkami o ich źdźbła. Teren niezwykle, przypominający trochę sawannę, gdyby tylko nie było drzew iglastych. Dojeżdżam do schroniska Čihalka. Nie jest tak klimatyczne jak Masarykova Chata, ale można uzupełnić wodę i przekąsić co nieco. Elektrolity uzupełniam jednak na kameralnym rynku miasteczka Olešnice v Orlických Horách. Zjechałem z 1084 m na 600 m n.p.m., więc za te prawie 500 m w pionie należy mi się jakaś nagroda. A być w Czechach i nie napić się piwa z lokalnego browaru to jak pojechać do Lourdes i nie spróbować świętej wody z grotty. Na tym małym rynku czas ewidentnie zwalnia, można poczuć nieśpieszny puls czeskiej prowincji. Ruszam do Piekła – a jakże, czerwonym szlakiem. Jest niezwykle urokliwy, zwłaszcza przy rzece Olešenka. Piekło to nazwa osady, w której mieści się schronisko Bartoň (Bartoňova Útulna). Tu był kiedyś stary młyn, może dlatego imali się go diabły. Dziś słynie z wybornej kuchni i genialnego miejsca do odpoczynku. W karcie: houskový knedlík, czyli knedel bułczany z cielecym gulaszem. Smakuje diabelsko! Dalej jadę równym jak stół asfaltem w dół doliny przy rzece Metuje, w stronę Nachodu, i stamtąd do Kudowy-Zdroju.

#### KÓŁKO WOKÓŁ SZCZELIŃCA

Następnego dnia cyklobus zabiera mnie w Góry Stołowe. Przyjeżdża o 8.27, potem jedziemy krętą drogą w górę, w stronę do Karlowa. Teraz widzę, jak bardzo musiałbym się napracować, podjeżdżając tą trasą, więc w duchu wychwalam czeski wynalazek. Cyklobusy w Czechach jeżdżą od dawna, natomiast na polską stronę ruszyły dopiero po otwarciu

granic w 2007 r., po zacieśnieniu współpracy Euroregionu Glacensis. Po kilkunastu minutach docieram do Karlowa. Kierowca ściąga mój rower z przyczepy, a ja jadę żółtym szlakiem w kierunku płaskich jak stół szczytów. Przejeżdżam między Szczelińcem Wielkim po prawej i Małym – po lewej. Po 5 km jestem już w małej wsi Pasterka przy granicy z Czechami. To w zasadzie kilka domów, kościół i kultowe schronisko ([przystanekpasterka.pl](http://przystanekpasterka.pl)). – Ryśka widziałem! – wrzuca posta i zdjęcie na Facebooka Piotrek Hercog, jeden z najlepszych ultrabiegaczy na świecie i – do niedawna – opiekun tego schroniska. Teren jest odludny na tyle, że w okolicy żyją rysie. Jednego „Ryszarda” przy drodze uwiecznił właśnie Piotr na zdjęciu. Ja rysia nie widziałem, ale muszę przyznać, że tej trasie rowerowej należy się medal za wyjątkową urodę i dzikość. Po drodze mijam Skalne Grzyby – niesamowite formacje charakterystyczne dla Gór Stołowych. Płasko robi się na Torfowisku Batorowskim, po którym jadę już czerwonym szlakiem. To tu wiosną 1945 r., w lesie obok Karlowa, między Praskim a Kręgielnym Traktem, awaryjnie lądował i rozbił się niemiecki samolot wojskowy. Miejscowi jeszcze niedawno znajdowali jakieś drobne części maszyny. Według lokalnej legendy należała ona do eskorty dowódcy upadającego Festung Breslau lub nawet samego Karla Hankego, gauleitera Dolnego Śląska. Mój cyklobus bezpiecznie zatrzymuje się o 15.35 w Karlowie, skąd ruszam do Kudowy w mieszanym polsko-czeskim towarzystwie. – Jak trasy w Górach Stołowych? – zagaduję jednego z Czechów. – *Krásná cesta* – odpowiada, z uznaniem kiwając głową. I zaraz dodaje, że zatrzymują się w Kudowie-Zdroju na pstrąga, bo mamy je dobre. Nie pozostaje mi nic innego, jak skoczyć na piwo tuż za czeską granicę. Wystarczy w Kudowie-Czermnej przejść do karczmy przez trawnik. Ale to już bez roweru. ■

ADOBE STOCK



Na Szczelińcu Wielkim prowadzi kilkanaście szlaków. Przechodzi się m.in. przez Diabelską Kuchnię czy Piekielko.

TEKST JOANNA LAMPARSKA

# Dolina Baryczy

UCIEKAM TU PRZED CAŁYM ŚWIATEM, BY POBYĆ ZE SOBĄ I DZIKA NATURE.

Park  
Krajobrazowy  
Dolina Baryczy  
leży na terenie  
Dolnego Śląska  
i Wielkopolski. Jest  
piękny, magiczny  
i uwodzicielski.



Czapla siwa jest jednym z mieszkańców Doliny Baryczy.



Stawy Milickie w Dolinie Baryczy to jeden z największych w Polsce rezerwatów ornitologicznych. W nich także hoduje się karpie.



Kościół rzymskokatolicki pw. św. Andrzeja Boboli w Miliczu. Jego historia sięga 1714 r. Wówczas był kościołem luteranckim.

i Wielkopolski, to jedna z największych ostoi ptaków wodnych-błotnych w Europie. Tutaj znajduje się też kompleks Stawów Milickich, jest ich niemal trzysta, stąd w wielu miejscach restauracje serwujące karpia. W zależności od miejsca Dolina Baryczy potrafi być dzika i dać samotność albo wrzucić w tłum maszerujących wzdłuż popularnych ścieżek turystów. Zdecydowanie wolę to pierwsze, tym bardziej że w nadbaryckich wioskach uwielbiam odwiedzać małe sklepiki i, nazwijmy to, lokalne punkty gastronomiczne. Z dworku we Wziąchowie wyruszą niemal o świcie. Rowerem jadę asfaltową drogą do Gądkowic, gdzie zatrzymuję się na chwilę w Rybce. To lokalna piekarnia słynąca z komiśniaka. Ten chleb na zakwasie wywodzi się od żołnierskiego pieczywa, które miało zachować długo świeżość. Gądkowice tak naprawdę zaczynają żyć dopiero wieczorem, kiedy koło sklepu spożywczego zaczyna działać mały pub, teraz, nad ranem, jest tu pusto. Dokupuję masło i kawałek żółtego sera i w drogę. Najpierw zmierzam do Zamku Myśliwskiego za Stawem Gądkowickim. Szeroka aleja powoli zmienia się w wąską drogę, żeby skończyć swój bieg koło dawnego dworku Maltzanów, niegdyś właścicieli tej okolicy. Stoi tu samotna jabłoń, której owoce leżą często na ziemi. Kiedy więc się da, korzystam z okazji i zbieram kilka jabłek. Chwila odpoczynku i 16 km do kolejnego punktu – stawu Grabownica. To trzeci co do wielkości zbiornik Stawów Milickich, prowadzi wokół niego ośmiokilometrowa ścieżka. W restauracji Grabownica zostawiam rower i dalej idę na piechotę. W XVII w. staw miał ponad 1 tys. ha powierzchni, dzisiaj jest trzy razy mniejszy, jego nazwa, podobnie jak wsi, oznaczała pierwotnie miejsce porośnięte grabami.

**N**a szutrowej ścieżce zawsze biegają koty. Schodzą się do Dworku pod Herbem, bo wiedzą, że właściciel ma miękkie serce i w miskach leżących na tyłach domu znajdują kawałek mięsa. Najedzone zaczynają pracę na rzecz dworku. Łaszą się do gości, prezentują akrobacje na rynnach, siadają na kolanach. Kiedy już się zmęczą, najwyczerpaniej w świecie zamykają oczy, dając do zrozumienia, że wykonały zadanie i z nikim już nie chcą mieć do czynienia. Mam podobnie jak te koty. Gdy wszystkiego jest już za dużo, za głośno i za trudno, jadę w Dolinę Baryczy, żeby oczyścić głowę i nie robić nic poza wędrowaniem i jazdą na rowerze. Mrucząca rodzina z dworku we Wziąchowie Wielkim wieczorami mnie koi i całkiem przyjemnie ogrzewa nogi.

#### SAMOTNYM SZLAKIEM

Park Krajobrazowy Doliny Baryczy leży na granicy Dolnego Śląska

**Park Krajobrazowy Dolina Baryczy** składa się z kilku rezerwatów chroniących ptaki czy unikatowy w Europie teren wodno-błotny.



Karp milicki, uznawany za tradycyjny produkt regionalny, historycznie związany jest z Doliną Baryczy, gdzie hodowany jest od ponad 800 lat.

#### WIEŻA NIEBIESKICH PTAKÓW

Szlak wokół wody działa mi na wyobraźnię. Staw błyszczy się pomiędzy drzewami, dookoła mnóstwo ptaków, ani jednego człowieka. Wystarczy dobrze studiować mapę, żeby dotrzeć do Dragońskiego Jazu z XIX w. To jedna z niewielu zachowanych dziś zabytkowych konstrukcji do piętrzenia wody. W Dolinie Baryczy są nieodłączną częścią krajobrazu, która przypomina, że przecież ten teatr natury nigdy by nie powstał, gdyby nie człowiek. To on stworzył krainę Stawów Milickich, wykopał akweny, zadbał o łąki i lasy, a potem zamienił to wszystko w rezerwat przyrody, pozostawiając go zwierzętom i roślinom. Kolejny jaz,



Grabownica, jest już dziełem sztuki, opuszczane na kołowrocie zastawy piętrzą wody rzeki Prądnia na ponad 1,3 m. To wyjątkowo piękne miejsce, w pobliżu stanęła Wieża Ptaków Niebieskich. Ma 14 m wysokości, w zależności od pory roku można tu

obserwować pary gęgaw, które wodzą pisklęta wśród trzcinowych labiryntów, perkozy podające swoim pociechom małe rybki, a potem wożące maluchy na grzbietach, czy błotniaki popisujące się powietrznymi akrobacjami. Największą ucztą dla oczu są jednak

stada dzikich gęsi, które dwa razy do roku odpoczywają na stawach w drodze pomiędzy łęgowskimi w tundrze i zimowymi ostojami w zachodniej Europie. Podczas przelotów tworzą grupy liczące nawet kilkadziesiąt tysięcy osobników. Kiedy o świcie

opuszczają stawy, przypominają złowieszczy huragan. To tutaj właśnie, nad Grabownicą, Włodzimierz Puchalski, znany polski fotograf, filmowiec i przyrodnik, nakręcił w 1947 r. pierwszy powojenny długometrażowy film przyrodniczy pt. *Ptasia wyspa*.

SHUTTERSTOCK

#### PRĘDKI JAK WĄSKOTORÓWKA

Przedemną kolejne 20 km na rowerze. Jadę do Rudy Milickiej, żeby groblą na Stawie Słonecznym Górnym dotrzeć do Smażalni u Bartka. Kiedyś ta droga była otwarta dla samochodów, dzisiaj można ją pokonać tylko pieszo albo

na rowerze. I choć raz w życiu trzeba to zrobić koniecznie. Ten przejazd jest kwintesencją Stawów Milickich, wąska droga i dookoła tylko woda. Czysta magia. Choć w Dolinie Baryczy wytyczone zostały liczne szlaki, które nazywane są rowerowymi, konnymi, pieszymi czy zamkowymi, można z nich korzystać w dowolny sposób. Przyjazność tego regionu polega na niepodejmowaniu gwałtownych decyzji. Wędrując wokół Grabownicy, natrafiam na trasę rowerową śladem dawnej wąskotorówki. Postanawiam pojechać nią następnego dnia. Sam szlak ma 20 km, zaczyna się w Sułowie, a kończy właśnie w Grabownicy. Postanawiam zrobić pętlę, drogą dla samochodów jak najszybciej pędzę do pierwszego przystanku i tam zaczynam już romantyczną podróż. Pod koniec XIX w. w Dolinie Baryczy powstała Żmigrodzko-Milicka Kolej Powiatowa. Pociągi pędziły po niej z zawrotną szybkością 24 km na godzinę. Z biegiem czasu, już po II wojnie światowej, wąskotorówkę zaczęły wypierać autobusy. W końcu tory zostały rozebrane. W ich miejscu powstała szeroka na 2 m ścieżka bitumiczna, która prowadzi przez Pracze, Postolin, Milicz, okolice Rudy Milickiej, żeby dotrzeć do Grabownicy. Na trasie sporo niespodzianek, stare szlabany, krzyże św. Andrzeja, wagony, dokładne tablice opisujące przyrodę i historię mijanych atrakcji. W miejscu dawnych stacji kolejowych znajdują się punkty do odpoczynku dla rowerzystów, zresztą co chwila zjeżdżam z trasy, nie mogę się oprzeć, żeby nie zajrzeć do pałacu w Miliczu i nie obejść ruin tamtejszego zamku, w którym archeolodzy odkryli najstarszą... deskę klozetową w Polsce. Dwadzieścia kilometrów, które zgodnie z informacjami z Google Maps powinnam przejechać w godzinę, zabierają mi pół dnia. W nagrodę zamawiam w Grabownicy wielki kawałek karpia, a wieczorem, już we Wziąchowie, pozwalam przytulić się do siebie wszystkim kotom. ■

TEKST SZYMON NITKA

# Mierzeja Wiślana

PRZEZ LASY, POMIĘDZY WODAMI  
ZATOKI GDAŃSKIEJ I ZALEWU WIŚLANEGO.

52-kilometrowy szlak pomiędzy Mikoszewem a osadą Piaski należąca do Krynicy Morskiej (na zdj.) prowadzi częściowo nad samym brzegiem morza. Uważany jest za jedną z najlepszych tras rowerowych w Polsce.







Na bałtyckim wybrzeżu spotkać można m.in. kormorana.

Szachulcowy kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Stegnie został zbudowany przez protestantów w latach 1681–1683. Dziś to świątynia rzymskokatolicka.



Na Mierzei Wiślanej możemy podziwiać piękne – w sporej części sosnowe – lasy.

a ostatnie 3 km leśnej trasy dostępne są już tylko dla rowerów i pojazdów Straży Granicznej. Biało-czerwony szlaban na granicy Unii Europejskiej to cel większości rowerzystów pokonujących nową trasę łączącą położone nad Wisłą Mikoszewo z Krynicą Morską. 52 km niemal bezkolizyjnej leśnej rowerostrady to bezpieczna alternatywa dla równoległej szosy. Dla kolarzy o sportowym zacięciu będzie to dystans do pokonania w trzy–cztery godziny, ale ci szukający relaksu mogą tu zostać nawet kilka dni. Z pewnością warto spędzić w tej okolicy aktywny weekend – z noclegiem w jednym z licznych obiektów w Sztutowie, Kątach Rybackich, Krynicy Morskiej czy Piaskach. Rybaków z Piasków zastają podczas wiosennego przeglądu sieci i sprzętu rybackiego; szukają uszkodzeń i przetarć. Jednego z nich pytam o budowany 20 km dalej przekop Mierzei Wiślanej. W odpowiedzi słyszę, trochę zaskoczony, że dla miejscowych rybaków nie ma on żadnego znaczenia. Doby nie wydłużą, by móc łowić jeszcze na otwartym morzu – roboty na Zalewie Wiślanym mają tyle, że nowej nie szukają. A słuza, która będzie elementem kanału żeglugowego Nowy Świat przez Mierzeję, zapobiegnie nawet zmianom w składzie gatunkowym ryb w Zalewie Wiślanym. Zlokalizowany w Skowronkach koło Krynicy Morskiej przekop nie jest jedynym na Mierzei. Jego drugi, starszy o ponad 125 lat brat został otwarty w 1895 r. i stanowi współczesne ujście Wisły między Świbnem a Mikoszewem. Wybudowały go pruskie władze Gdańska, chcąc chronić miasto przed skutkami wiosennych powodzi. To wtedy powstała popularna dzisiaj Wyspa Sobieszewska, która wraz z położoną na zachód od niej Wyspą Portową (na której zachodnim końcu leży półwysep Westerplatte) również należy do mezoregionu geograficznego Mierzei Wiślanej. Właśnie przy starym przekopie Wisły w Mikoszewie ma początek nowa,

Jednym z niewielu miejsc, z których można obserwować zarówno Zalew Wiślany, jak i Zatokę Gdańską jest platforma na Górze Pirata.



Od setek lat Mierzeja Wiślana znana jest w całej Europie z wydobycia bursztynu. Do dziś są tam jego złoża – szacuje się je na blisko 7 ton.

**P**ani Waleria, dziarsko spacerująca z laską po okolicach portu rybackiego w Piaskach, już nie ma problemu z wynajmem pokoi. Mówi mi, że starych gości przyjeżdżających na wielodniowe pobyty coraz częściej zastępują nowi, właśnie z rowerami. Starsza pani wymalowała nawet garaż po zmarłym mężu, aby mieli gdzie chować je na noc. I tak, bez odgórnych nakazów i zewnętrznych akcji, powstało prawdopodobnie jedno z pierwszych na Mierzei Wiślanej tzw. miejsc przyjaznych rowerzystom.

**OD MIKOSZEWA DO PIASKÓW**  
Osada nazywana potocznie Piaskami administracyjnie jest tak naprawdę Nową Karczma, częścią Krynicy Morskiej. Obecnie mieszka tu zaledwie 200 osób. Na ten jeden z polskich „końców świata” nikt nie trafia przez przypadek; zimą nie dojeżdża tu nawet autobus. W Piaskach swój koniec ma także droga wojewódzka numer 501,

świetna trasa rowerowa. Powstała dzięki sfinansowanemu przez Unię Europejską projektowi samorządów Stegny, Sztutowa i Krynicy Morskiej oraz Nadleśnictwa Elbląg. Jej krótkim odcinkiem biegnie fragment szlaku rowerowego EuroVelo 10 wokół Morza Bałtyckiego, a większą część stanowi lokalny łącznik europejskiej trasy dookoła Bałtyku oznaczony symbolem R-10. Nowa inwestycja szybko przyciągnęła amatorów rowerowej włóczgi, a popularna wśród biketurystów trasa Świnoujście–Hel wydłużyła się aż do Krynicy Morskiej.

**CZAR DAWNEGO KURORTU**  
Historia Krynicy Morskiej jako letniego kurortu zaczęła się ok. 1830 r., gdy na wywczaszy zaczęli przybywać tu mieszkańcy pruskiego Elbląga. Kahlberg, jak wówczas nazywało



się miasto, przeżył swój rozkwit pod koniec XIX w. Z tych lat pochodzi tutejsza latarnia morska, wtedy też kurort połączyły z Elblągiem regularne rejsy wycieczkowe. Po wojnie niemiecką nazwę zmieniono najpierw na Łysicę, a dopiero w 1959 r. na Krynice Morską. Obecnie w sezonie trudno dostrzec tu atmosferę modnego i dość elitarnego kurortu, latem jest tu głośno i nie zawsze elegancko, jednak wiosną i jesienią wśród ostatnich zabytkowych budynków z epoki wciąż można poczuć ducha Kahlbergu. To w okolicach Krynicy Morskiej znajdują się najbardziej efektowne odcinki trasy rowerowej R-10. Rowerzyści docierający do

miasta od południa cieszą się wygodą, jaką daje fragment drogi rowerowej wykonany w rzadko spotkanej technologii mineralno-żywicznej. Ale jeszcze więcej emocji budzi wcześniejszy odcinek – poprowadzony po otwartym, niewysokim klifie na wysokości Przebrna. A jeśli w dodatku przybywa się w to miejsce w momencie, gdy wszystko tonie w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca... Zbliżając się do Przebrna, odnajdujemy jedno z najciekawszych miejsc na całej Mierzei. Cofamy się do czasów, gdy półwysep przecinała granica Wolnego Miasta Gdańska. Gdzieś między powstającym obecnie przekopem

a Krynica Morską, zaledwie kilka metrów od niewysokiego klifu, w rzadkim sosnowym lesie stoi granitowy kamień graniczny z wyrytą inskrypcją „Versailles” i datą uchwalenia traktatu wersalskiego. Jest jednym z ostatnich i najbardziej okazałym z ponad 200 tego rodzaju głazów, które postawiło tu niegdyś Wolne Miasto.

#### RYBACY I KORMORANY

O ile wspomnienie przedwojennego Gdańska budzi nadal ambiwalentne uczucia wśród dzisiejszych mieszkańców regionu, to nazistowski obóz koncentracyjny Stutthof, mieszczący się w środkowej części Mierzei, niedaleko trasy rowerowej,

jest już wyłącznie smutną pamiątką po II wojnie światowej. Liczbę ofiar obozu masowej zagłady szacuje się na 65 tys. osób. Dziś mieści się tu Muzeum Stutthof dostępne bezpłatnie. Po przejechaniu przez niedalekie Sztutowo warto na krótko zjechać do jednej z najbardziej niezwykłych ornitologicznych atrakcji w Polsce, jaką jest rezerwat przyrody Kąty Rybackie. Bytują tu kormorany, niegdyś zagrożone wyginięciem, dziś żyjące w jednej z największych kolonii w Europie. I to, jak się okazuje, jest duży problem dla rybaków z Zalewu Wiślanego, z którymi te ptaki konkurują o pożywienie.

ADOBE STOCK

Widok obszaru zamieszkanego przez kormorany przypomina czasem połać lasu po przejściu huraganu. Jadąc przez te tereny, widzimy stojące martwe drzewa i dziesiątki innych leżących pokotem. Aż żal to wszystko oglądać.

#### BAŁTYCKIE ZŁOTO

Już po powrocie na szlak, na jednym z leśnych parkingów koło Kątów Rybackich, widzę młodą kobietę przebiegającą coś przy wejściu do kampera. Przed nią – niewielki kopiczek czegoś, co przypomina plażowy piasek; kobieta segreguje go i wkłada do plastikowych pojemników. Na moje ciekawskie pytania szybko wyjaśnia, że jest to efekt tygodniowego zbioru

bursztynu na plażach Mierzei. Przyjeżdża tu od lat, wiosną, a to, co uda jej się zebrać, wykorzystuje do produkcji biżuterii. Przypomina mi się malutkie Muzeum Bursztynu w sąsiedniej Steganie, gdzie obejrzeć można bardziej efektowne okazy bałtyckiego złota. Jedziemy dalej. Większość trasy posiada szutrową, utwardzoną nawierzchnię doskonale komponującą się z okolicznym lasem. Wraz z łagodnie zmieniającą się rzeźbą terenu cieszyć będzie zarówno zwolenników lekkiej jazdy terenowej na popularnych ostatnio grawelach, jak i sprawi mnóstwo satysfakcji jednolub wielodniowym turystom rowerowym wiozącym swój bagaż w sakwach. ■

TEKST MARZENA FILIPCZAK

# Warmia i Mazury

RUSZYŁAM Z NIDZICY BURSZTYNOWYM SZLAKIEM  
ROWEROWYM. LAS JEST TU WIELKI I GĘSTY,  
PUSTKI WYSTARCZY DLA KAŻDEGO.

Przez Puszcę  
Augustowską  
prowadzi szlak  
rowerowy Wokół  
Doliny Rospudy.  
Jego długość to  
blisko 50 km,  
a czas przejazdu  
ponad 4 godz.

Najpierw kończy się asfalt gładki, potem dziurawy, po nim jest bita droga, a przy niej drogowaskazy. W tym miejscu wyglądają jak z kosmosu, bo od kilku kilometrów jadę przez sosnowy las, który w słoneczny dzień pachnie jak sklep z olejkami. „Brzeźno Łyńskie” – to mój kierunek. Jeszcze chwila i stromym zjazdem śmigam prosto na most, pod którym przepływa Łyna. Największa rzeka Warmii i Mazur w tym miejscu jest rzeczką – nie za wąską i nie za szeroką, można się zanurzyć po pas albo pobujać jak Tarzan na linie zawieszzonej nad wodą. To popularne miejsce startu spływów „do źródeł Łyny”, prąd jest tu ledwo wyczuwalny, więc nie ma problemu, żeby płynąć w górę.



Położona nad Jeziorem Tumiańskim osada Tumiany. Idealne miejsce na wypoczynek w naturze.



Leśny wodospad w okolicach Olsztyńska położonego niedaleko Olsztyna.

Ogromne lasy to pozostałość po dawnej Puszczy Galindzkiej. Jagody można wnosić z nich wiadrami, Są też kurki i słodkie poziomki – choć dziś to już rzadkość.



Gotycki zamek w Nidzicy powstał w XIV w. za sprawą rycerzy zakonu krzyżackiego. Dziś jest tu m.in. Muzeum Ziemi Nidzickiej.

Przejrzysta tafla, na której układają się w dywan podwodne rośliny, gęsto zarośnięte brzegi, baldachim ze zwisających gałęzi, a do tego brak innych kajakarzy – obrazek jak na Krutyni przed najazdem tłumów. Kiedyś płynęłam w tych okolicach kajakiem, chciałam dotrzeć do źródeł Łyny. Gdy wpłynęłam na małe jezioro, grażeli było tam tyle, że ciągle nabierałam je na wiośła, a sama rzeka zwiężała się do szerokości strugi i kluczyła zakrętami w morzu trzcin. Udało mi się znaleźć jej wypływ z kolejnego jeziora, lecz na następnym zakolu był już klops. Lustrowaliśmy brzegi, niestety każdy kanał okazywał się ślepym zaułkiem, chociaż rzeka przecież musi gdzieś tu być, bo do źródeł zostało dobrych kilkanaście kilometrów. Poddaliśmy się wtedy. Ale źródła Łyny nie dawały mi spokoju. Teraz ruszam więc w ich kierunku na dwóch kołach. Jadę Bursztynowym Szlakiem Rowerowym, jedną z trzech tematycznych pętli ze startem w Nidzicy. Akurat ta

– wytyczona odnogą dawnego Szlaku Bursztynowego – zahacza o przyrodnicze perełki okolicy. Łyna meandruje w dole jak błyszcząca wstążka, pojawia się i znika w lesie, ale tego, że straciłam ją z oczu, żałuję tylko chwilę, bo droga wyprowadza na słoneczne wypłaszczenie. Obok jest najstarszy w Polsce rezerwat żółwia błotnego. *Prowadzi ukryty tryb życia trudny do obserwacji* – czytam na tablicy informacyjnej jak usprawiedliwienie, żeby się nie rozczarować. Potrzeba dużo szczęścia, żeby wypatrzyć go na zarośniętych brzegach jeziora Orłowo Małe.

#### NI WARMIA, NI MAZURY

– Da się je obejść? – pytam z nadzieją wędkarzy, którzy wyrosli z zieleni jak duchy. – Da, ale więcej trzeba rower ciągnąć, niż jechać, bo dużo powalonych drzew. Ruszając dalej solidnym zjazdem po wertepach, myślę, że nie chcę tędy wracać w górę, kiedy w ciszę wdziera się narastający szum. Grobla przy starym

SHUTTERSTOCK, ADOBE STOCK (2), ISTOCK, POKRZEDNIE STRONY, ADOBE STOCK



Leśnicy odnawiają populację guszcza w Puszczy Augustowskiej.



białym młynie spiętrza strumyczek w malownicze jeziorko, a drogowskaz pokazuje: do źródeł – w górę. 149 stopni. Wciągam rower po zboczu, ale wcale mnie to nie złości, bo każdy kolejny stopień to pretekst, żeby przystanąć i popatrzeć na głęboką dolinę. Płynie nią nie jedna, lecz dziesiątki rzeczek. Strużki spadają kaskadami po stromiznach i łączą się, zasilając Lynę. W zbocza wrzynają się poprzeczne wąwozy, wszystko porasta gęsty las, a jeszcze teraz ścieli się dywan fiołków. Kiedy docieram wreszcie na dół, wybieram powrotną drogę gładziutkim asfaltem. Prowadzi równolegle do ściany lasu, w którym przed chwilą świat wyglądał zupełnie inaczej. Jadę, nie mogąc uwierzyć, że tu jest tak normalnie, jakbym wróciła przez bramę czarodziejskiego ogrodu. Jeśli ktoś nie wie, to do niego nie trafi. Od lat rozdzielam pojęcia „podróż” i „wakacje”. Na wakacje nigdy nie pojechałabym tam, dokąd podróżuję. Nie potrzebuję nadmiaru atrakcji, właściwie wolę ich nie mieć, żeby nic mnie do nich nie ciągnęło. Na wakacje od lat jeżdżę w to samo miejsce – okolice Nidzicy i Olsztynka. Ni to Warmia, ni Mazury, blade wypadają w porównaniu z wielkimi jeziorami, choć w lasach są ich tu dziesiątki. Moje ulubione jeziorko to Morskie Oko – jak mówią o nim miejscowi, choć faktycznie nazywa się Zdręczno. Leży pod wysoką skarpią i można do niego zjechać drogą, robiąc duży łagodny zakręt, ale ja zawsze schodzę stromymi stopniami, chłonąc błękitne oczko. Lasy – gęste, ogromne – to pozostałość po dawnej Puszczy Galindzkiej. Jagody można wnosić z nich wiadrami, kurki zbieram, maszerując drogą, a na słonecznych poboczach rosną kępami słodkie poziomki – dziś już jednak rzadkość. Ma ta kraina jeszcze jedną wielką zaletę, wciąż nie ma tu tłumów i nawet w pandemiczne letnie niedziele znalazłam pomosty, na których czytałam godzinami nieniekłopotowana przez nikogo. Przez lata, gdy wysiadałam z pociągu, czułam

déjà vu, oglądając ten sam krzyżacki zamek na wzgórzu i stary dworzec. Imponująca forteca z krużgankami stoi nadal, straszący budynek dworca w końcu zastąpiła lekka nowoczesna konstrukcja. Okolice wyładniała; gdziekolwiek spojrzę – nowe trasy i tablice z ciekawostkami, widać, że lokalne społeczności dbają o małą ojczyznę. Niedawno właściciel wypożyczalni kajaków opowiadał o rowerzystach narzekających, że gubią się, jadąc wokół jeziora Omulew. I proszę – teraz są znaki na wszystkich rozstajach, do tego informacja, żeby braki zgłaszać sołtysowi. A zgubić się wokół Omulewa łatwo, bo to dziwne jezioro w kształcie litery H, miejscami zarośnięte, pachnące dziką miętą. Zaparzona z nią herbata smakuje wybornie. Początkowo szlak nieco zawodzi, bo jadę drogą wzdłuż zachodniego brzegu, przez dawne rybackie wsie, ale za nimi skręcam w las nad rzeczkę Koniuszankę, która tworzy tu przełom. Sceneria – jakby ktoś rozpiął płótno do pamiątkowych zdjęć: drewniany mostek, a za nim powalone w wodę omszałe pnie.

#### WIELKI MUR MAZOWIECKI

Dawne lasy Galindów to raj dla rowerzystów. Drogi są dobrze oznakowane, szerokie, bite, ale jak chcesz się zmęczyć, jest sporo miejsc, gdzie można pojeździć pod górkę. Przy leśnych duktach spotykam małe osady, do których nie da się dojechać inaczej. Tablice informują: liczba mieszkańców – 76, liczba mieszkańców – 23. Niczego nie szukam, ale i tak wciąż trafiam na coś ciekawego: cmentarz z czasów I wojny, bunkry z II, ziemne wały, które jak Wielki Mur Chiński tysiąc lat temu chroniły Mazowsze przed Prusami. Ich resztki ostały się za wsią nazwaną od nich Wały. Ja jednak jestem tu z innego powodu. – Dalej było jeszcze lotnisko i stacja kolejowa. A do kościoła najlepiej jechać tędy – pokazuje zagadnięty w Wałach mężczyzna. Tak naprawdę to nie kościół, tylko kawałek ruiny, a właściwie – jedyna pozostałość po

wsi. Ruszam lasem i przeklinam go, bo trwa wycinka, wielkie traktory wyłobily koleiny po kolana, kawał drogi przedzieram się pieszo w błocie. „Po co kierować się do wsi, której nie ma?” – wściekam się na siebie, kiedy droga łaskawie przestaje chcieć mnie pożyć, a między drzewami pojawiają się coraz szersze prześwity i wreszcie dziwne zakłócenie zielonego krajobrazu. To smukła wieża z czerwonej cegły zwieńczona drewnianym dachem. Z bliska widzę, jak bardzo jest zniszczona, aż dziwne, że wciąż stoi. Rozglądam się, szukając śladów dawnych mieszkańców, ale obok jest tylko kępa bżów, jakieś zdziczałe drzewko owocowe i kawałek omszałego muru. Podobno miejsce wygląda najbardziej upiornie, kiedy bzy kwitną, bo widać, ile domów zniknęło. Małga to wieś widmo z wielką historią; powstała w dolinie Omulwi w czasach przedkrzyżackich i przez wieki miała się świetnie. Pierwszy cios zadali jej czerwonoarmiści, którzy spustoszyli ją jak tornado, drugi przyszedł kilka lat później. Pod poligon wysiedlono kilka miejscowości, domy zniszczono. Wieża kościoła ewangelickiego ocalała jako jedyna, bo wojsko miało ją za punkt orientacyjny do ostrzału. Trzy dekady temu miejsce poligonu zajął las. Dziki, prawdziwy, nie ma w nim ludzi, jedynie zwierzęta. Jadąc tu, widziałam tylko ślady traktora i racic. – Kszyyyyy, kszyyyyy – dobiega z wilgotnej łąki opadającej w stronę rzeki. Rezerwat Małga to marzenie ornitologów, znany jest przede wszystkim za sprawą żurawi i cietrzewi. Zjeżdżając przez coraz gęstsze zarośla w stronę bagnistej doliny, słyszę wiele ptaków, ale żadnego nie widzę. Zbiera się na deszcz, robi się coraz ciemniej, nie chcę utknąć w opuszczonej wsi. Kiedy wracam z łąki, z szumem podrywają się dwa ptaszyska. Bociany – myślę rozczarowana. Wtedy szum się powtarza, tym razem głośniejszy. Kawałek ode mnie z wysokich traw startuje cietrzew. ■

TEKST **BASIA STARECKA**

# Podlasie

**RUSZYŁAM SZLAKIEM PRZEZ WIELOKULTUROWĄ  
HISTORIĘ PODLASIA. I SPOTKAŁAM NAJCUDOWNIEJSZE  
BABUSZKI NA ŚWIECIE.**



Drewniane chaty są wizytówką Podlasia. W wielu z nich można wynająć pokój.



W Puszczy Białowieskiej zachowały się największe potacie lasu pierwotnego w Europie.



Oprócz żubrów na Podlasiu mieszkają także wilki i rysie.

**R**ower mam miejski, opony cieniutkie, ale za to sakwy na bagażniku i mój zadziorny wyraz twarzy zdecydowanie nadają tej wyprawie wyczynowy charakter. Jadę prostą i popularną trasą rowerową z Białegostoku. Nie zabawiłam tam długo. Duszką wypięłam buzę i od razu obrałam azymut na Supraśl. Napój z kaszy jaglanej z dodatkiem rodzynek, soku z cytryny i cukru to pamiątka z okresu międzywojnia, z czasów, kiedy do Białegostoku sprowadzili się Macedończycy. Podobno pierwszy lokal specjalizujący się w tym fermentowanym napoju powstał w 1913 r. i był w mieście szalenie popularny. Musiałam go zatem spróbować. Buza jest lekko kwaskowa, ale i szałowa. Podejrzewam ją o zawartość alkoholu, bo wprawia mnie w doskonały nastrój i lekko szumi w głowie. Buzuje w niej wielokulturowa historia Podlasia. Ruszam jej tropem i mam nadzieję ją odnaleźć.

ADOBE STOCK (2), ISTOCK, SHUTTERSTOCK, POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

#### KARTACZE Z ULICY TKACZY

Podlasie wcale nie jest takie płaskie. Łydki mi już ścierpły od pedałowania pod górę, ale zagrzewam się do walki wizją obiadu w barze Jarzębinka. Jadłam tam już nieraz i uważam, że to największa atrakcja Supraśla. Oczywiście jest jeszcze kościół Świętej Trójcy, biały dworek z siedzibą Parku Krajobrazowego Puszczy Knyszyńskiej i pałac Buchholtzów z XIX w., ale za to w Jarzębince są kartacze, babka ziemniaczana i podpiwek. Malutki bar istnieje od dekad i ma status lokalnej instytucji. Mieści się przy ulicy 3 Maja w niskiej drewnianej zabudowie z połowy XIX w., w jednym z zabytkowych domów tkaczy. Powstał w czasach, kiedy Supraśl był prężnie działającym ośrodkiem włókienniczym. Skorzystał na wysokim ciele, które po powstaniu listopadowym carska Rosja nałożyła na towary wywożone z Królestwa Polskiego. Część fabrykantów z Łodzi i Zgierza przeniosła wówczas swoją produkcję wraz z pracownikami poza granice Polski. Tak w Supraślu powstała druga „ziemia obiecana”. Zamieszkiwali ją Niemcy, Austriacy, Czesi, a nawet Francuzi. Kartacze, które pałaszują w barze Jarzębinka, mają za to korzenie litewskie i tam nazywane są cepelinami.

#### TATARSKIM SZLAKIEM

Równie poplątane korzenie ma jedyna w Polsce cerkiew obronna w Supraślu. Budowla z powodzeniem łączy dwie kultury: zachodnioeuropejską i rusko-bizantyjską. Stała tu niezmiennie od 1511 r. do czasu, kiedy w 1944 r. Niemcy wysadzili ją w powietrze. Zostały po niej jedynie XVI-wieczne freski na filarach, resztę odbudowano w latach 90. Okrążam jej gigantyczną bryłę rowerem i zastanawiam się, którą z wielokulturowej historii Podlasia wybrać na następny przystanek. Czy ruszyć szlakiem tatarskim? Droga do Kruszynian, Krynek i Bohonik wiedzie przez piękną Puszcę Knyszyńską. Na kolację mogłabym

Podlaskie to jeden z najbardziej bioróżnorodnych regionów Polski. Każdy z tutejszych czterech parków narodowych to zupełnie inny krajobraz.



Podlaskie racuchy jada się nie tylko od święta – to obowiązkowa potrawa na wigilię – ale także na co dzień. Doczekają się kilku odmian, m.in. marchewkowej.

zjechać do Tatarskiej Jurty na słynny piekaczewnik, czyli wielowarstwowy tatarski placek naszpikowany farszem. W tych okolicach mieszkają potomkowie Tatarów, którzy walczyli przeciwko Turkom po stronie Rzeczypospolitej Obojga Narodów u boku Jana Sobieskiego. Hetman w 1679 r. подарował im ziemię oraz tytuły szlacheckie. Tej historii nie potrafili uszanować wandalie, którzy sześć lat temu sprofanowali miejscowy drewniany meczet. Najstarszy w naszym kraju! Zamalowali go symbolami Polski Walczącej oraz świni. Zbeczczęścili również liczący ponad 300 lat muzeumński cmentarz... Wstrząśnięci mieszkańcy od razu



zabrali się do odbudowy. Wyników śledztwa w tej sprawie nigdy nie poznaliśmy. Zostało umorzone.

#### KUNA I BOCIANY

– A jakie ty możesz mieć zmartwienia. Miasto jest wolne od problemów. My na wsi to dopiero mamy zgryzoty – twierdzą babcie, które otoczyły mnie w jednej z wsi na Podlaskim Szlaku Bocianów. Miałam zamiar dojechać nim do Hajnówki, ale wciąż robię postoje, bo z głową zadartą do góry trudno ujechać. Boćki są niemal

na każdym słupie energetycznym. Najwyraźniej cenią sobie tutejszy mikroklimat oraz dietę, bo szlak może się pochwalić największym zgrupowaniem bocianów w całej Polsce, a nawet w Europie. Babcie wyglądają na mniej zadowolone. Narzekają na miejscową kunę. Wykrada im kury z kurników. – Same jesteśmy, musimy się trzymać razem. Na wsi teraz same stare baby, młodzi wyjechali do miast, a chłopcy wymarły od wódki. Pamiętacie Siekierę? A tego tam, Szumka? Jeden rąbał drewno po pijaku,

aż se krzywdę zrobił, a drugi się cały czas zataczał, to go tak ochrzciłyśmy, od tego szumu w głowie – opowiadają babcie. Słucham opowieści i tłumaczę, że w mieście też mamy swoje zgryzoty, a największą jest stres. Babcie kiwają tylko głowami. Jest późne popołudnie, złota słoneczna poświata wypełnia i prostuje głębokie zmarszczki na ich twarzach. Siedzimy na ławce przed jedną z tradycyjnych chałup. Nie mogą się napatrzeć na kolory drewnianej szalówki. Raz jest zielona, raz brązowa, albo jaskrawoturkusowa. Każda ma

SHUTTERSTOCK

piękne zdobienia, typowe dla Podlasia carskie okna zwieńczone koronkowym ornamentem i malowanymi skrzydłami okiennic. Na tych kolorowych tłach kwitnące malwy i smolinosa wyglądają niemal bajkowo. Na dalszą drogę dostają parę słoików domowych przetworów. Babcie martwią się moją szczupłą sylwetką, wiadomo, w tych miastach wszyscy na dietach, nieustannie się tylko odchudzają. Kusi mnie, żeby na moment porzucić rower. Hajnówka ma taką fajną retroatrakcję – leśną kolejkę wąskotorową. Za czasów

I wojny światowej służyła Niemcom do przewozu drewna. Kursuje na trasie Hajnówka–Topiło. Opuuszczam jednak i pedałuję prosto do słynnego Miejsca Mocy. Liczę, że nabiorę tam siłę do dalszej podróży. Zanurzam się w chłodne objęcia Puszczy Białowieskiej, ostatniego takiego lasu w Europie. O dobrostan naszego najstarszego parku narodowego dbali niegdyś polscy królowie, a nawet rosyjscy carowie. Szkoda, że ostatnie lata przyniosły tendencję odwrotną. Jadę wzdłuż torów nieczynnej trasy

kolejowej Hajnówka–Białowieża. Wspaniały świerkowy las zaczyna przybierać coraz bardziej dziwaczne kształty. To tu właśnie ma miejsce kumulacja wibracji, z której leśnicy uczynili turystyczną atrakcję. Na moje napięte łydki zdaje się jednak nie pomagać. Zjeżdżam zatem do pobliskiej Białowieży.

#### ORZESZKI Z ORZESZKOWA

Na Kupalle, czyli białowieską noc świętojańską, przyjeżdżam co roku. Jeden wieczór w Białowieży



wart jest każdych kilometrów. Zaczyna się korowodem pochodni iskrzących się na tle soczystej zieleni, a kończy skakaniem przez ogniska i puszczaniem wianków o północy na rzekę Narewkę. Kwiatu paproci nigdy co prawda nie znalazłam, ale wyjeżdżam stąd z innymi pamiątkami. Na leśnej scenie co roku występuje ok. 20 zespołów z Białostoczczyzny i pobliskiej Białorusi. Moc ludowych pieśni kumuluje się wtedy i rezonuje w koronach drzew, a silne głosy śpiewaków przyprawiają słuchaczy o ciarki. Parę lat temu na scenie wystąpił zespół Orzeszki, którego płyta towarzyszy mi do dziś i dodaje magii mojej warszawskiej rzeczywistości. Historia Orzeszków zaczyna się w pobliskim Orzeszkowie w 1973 r. Kobiety śpiewały od dawna, ale wtedy po raz pierwszy wystąpiły na miejscowych dożynkach. Przez lata udało im się zgromadzić wiele pieśni. Sporo z nich przypomina cerowanie starej kapy. Z zapamiętanych fragmentów Orzeszki odtwarzają dawne białoruskie pieśni ludowe. Chłopy też śpiewają, ale się wstydzą i na scenę nie wchodzi. Przejżdżam przez ich rozśpiewaną wieś, wyjeżdżając z Białowieży, i nucę sobie rozdzierającą serce pieśń *Czerwonaja wisznia*.

**FESTIWAL Z WIEJSKIEGO PODWÓRZA**  
Trasa do Czeremchy wije się przez malownicze wsie i kwitnące łąki. Przystaję dopiero w Dubiczach Cerkiewnych. Zastanawiam się, czy nie popluskać się w zalewie Bachmaty, ale wybieram cień przepięknej turkusowej drewnianej cerkwi z 1770 r. Nie ma tu żywej duszy. Jak głosi legenda, wieś przy dębowym lesie założyło plemię Krywiczów z Litwy. Dębowy las po białorusku to „dubrowa”, od nazwy dębu „dub” – stąd nazwa miejscowości. W tych okolicach zakopany jest podobno skarb Napoleona. Schowany gdzieś w pośpiechu przez uciekających z Rosji Francuzów. Czeremchę

wyczuwam nosem już z daleka. I wcale nie jest to zapach kwitnących krzewów. Skraj Puszczy Białowieskiej mocno pachnie smołą. Takie aromaty roztacza działająca tu od lat nasycalnia podkładów kolejowych. Impregnuje drewno iglaste i liściaste na potrzeby kolei i przemysłu. Czeremcha znajduje się na starym trakcie kolei żelaznej łączącej kiedyś Królewiec z Odessą. Za wsią jest międzynarodowe kolejowe przejście graniczne z Białorusią. Ale nie historia kolejnictwa przyciąga mnie w te okolice, a muzyka przygranicza. Co roku, pod koniec lipca, na Festiwal z Wiejskiego Podwórza zjeżdżają się zespoły folkowe z całego świata. Można posłuchać żywiołowej muzyki wielu kultur i narodów. Na deskach Ośrodka Kultury w Czeremsze wystąpiła m.in. najsłynniejsza grupa bałkańsko-cygańska Fanfara Transilvania z Rumunii, a także Mokoomba z odległego Zimbabwe. Przez trzy dni trwają tańce i śpiewy, a dla chętnych organizowane są warsztaty. Można się nauczyć ginącego już powoli rzemiosła wyplatania ze słomy i tkactwa.

#### SŁONINA NA DWA PALCE

Szukam wzrokiem pani Wiery. Co roku niemal wygrywa festiwalowy konkurs potraw regionalnych. Konkurencja pomiędzy podlaskimi gospodyniami jest zaciekle, a zadanie jury niełatwe – wybrać najlepszą potrawę pomiędzy samych wspaniałości. Jedno wiadomo na pewno – najlepszą słoninkę robi pani Wiera. Podjeżdżam pod jej chałupkę zarośniętą kolorowymi malwami. Mieszka sama, jest już leciwą staruszką, ale oboje ma najbardziej zadbane w okolicy. Wchodzę na podwórze z równiutko przystrzyżoną trawką, pani Wiera wynurza się ze swojej letniej kuchni. To mały budynek gospodarczy, z którego korzysta w sezonie. Łsni czystością. Pytam o tegoroczną słoninkę. Pani Wiera bez słowa prowadzi mnie do chlewiku. – Będzie bardzo tłusta – mówi i otwiera drzwi. Nie mogę uwierzyć w to, co

widzę. Powierzchnię całego chlewiku, łącznie z jego oknami, zajmuje jeden wieprz. Jest ogromny. – To już jego pora, nie można czekać, bo zaraz chlew nie wytrzyma i się rozsypie – przytakuje gospodyni. Tego wieczora rozbiję w sadzie za płotem swój namiot. Długo nie pośpię, bo o brzasku obudzi mnie rozdzierający wrzask indyków pani Wiery. Następnego dnia znajduję nocleg u innej babci. Jestem w pobliskiej Bobrowce obok Zubaczy. To wieś o magnackim rodowodzie z końca XVIII w. Na mapie ledwo ją widać. Jest malutką kropeczką na granicy pomiędzy Polską a Białorusią. Rozbijam się pod gruszą rosnącą przy ostatniej chałupie we wsi. Babcia, która w niej mieszka, zaprasza mnie na herbatkę z konfiturą. Sadza mnie na ganku zarośniętym paprociami i bierze w ogień pytań. Potem wyjaśnia, że to na wypadek, gdyby moim namiotem zainteresowała się straż graniczna. Babcia pyta, czy mam w rodzinie duchownych. Jest bardzo dumna z najstarszego syna, który został batiuszką. Odprowadza mnie pod gruszę i na dobranoc wręcza mi konfitury. To kolejny słoik z tej podróży. Zasypiam błogo tuż po zmroku. Śpię spokojnie do momentu, kiedy niebo nagle zaczyna się błyszczeć, a namiot rozświetla luna światła. Robi się bardzo jasno. Po chwili ktoś świeci mi latarką w oczy. – Dokumenty proszę! – krzyczy głos, a ja jestem oślepią. Wręcam dowód i próbuję wysunąć się z kokonu śpiwora. – Przepraszamy za najście – po chwili głos okazuje się należeć do straży granicznej. Ktoś właśnie nielegalnie przekroczył w pobliżu granicę. Jest noc, ale wszystko widzę dokładnie. Chatkę babci, gruszę i namiot. Rzucają dramatyczny cień w białej rozświetlonej racami nocy. Wygląda na to, że już sobie nie pośpię. Babcia jednak wstaje o świcie, karmi kurki i czeka na mnie ze zsiadłym mlekiem. Nie mogę przecież tego wszystkiego przespać. ■

SHUTTERSTOCK (2)



Cerkiew św. Jana Teologa była pierwszą świątynią (1501 r.) na terenie monasteru w Supraślu. Obecna konstrukcja pochodzi z XIX w.



Dworek Gubernatora Grodzieńskiego w Białowieży. To najstarszy budynek (1845 r.) w polskiej części Puszczy Białowieskiej.

OD BAŁTYKU DO TATR

Jezioro Bystrzyckie  
na Dolnym Śląsku  
to idealne miejsce  
do aktywnego  
odpoczynku.  
To atrakcja  
turystyczna  
Gór Sowich.

TEKST MATEUSZ WALIGÓRA

# Od Bałtyku do Tatr

TO BYŁA NASZA PIERWSZA ROWEROWA WYPRAWA Z DZIEĆMI.  
I WIELKI SPRAWDZIAN DLA CAŁEJ CZWÓRKI.



Kościół Górski Naszego Zbawiciela w Karpaczu znany jako świątynia Wang. Jego historia sięga XII w.



W Grudziądzu zachowały się fragmenty imponujących średniowiecznych murów miejskich.

Ponad 50 dni i 800 przejechanych kilometrów od Półwyspu Helskiego do Śnieżki. Każdy dzień był dla nas sprawdzianem cierpliwości.



Foka szara odpoczywająca na plaży w Łebie. Populacja tych zwierząt w Bałtyku wynosi ok. 30 tys.



Szeroka plaża u ujścia Pieniny do Bałtyku w Dębkach. Rzeka wypływa z Jeziora Żarnowieckiego i po ok. 7 km wpada do morza.

Siedząc na równi pod Śnieżką, spoglądałam na zamglony szczyt. Z przodu, zawieszony w dziecięcym nosidełku, przytula się do mnie Ernest. Śpi. Dopiero teraz czuję, ile trudu kosztowało nas z Agnieszką dotarcie tutaj. Ponad 50 dni i 800 przejechanych kilometrów! Nie urwaliśmy się z choinki, wręcz przeciwnie – po rowerowych wyprawach przez Andy czy australijskie pustynie możemy uważać się za ekspertów. Ale podróż, która się właśnie kończy, jest pierwszą, w którą ruszyliśmy z naszymi synami – rocznym Ernestem i trzyletnim Frankiem. Wiedzieliśmy, że to nie egzotyczny kierunek decyduje o atrakcyjności wyprawy, liczy się za to dobry pomysł. Postanowiliśmy przemierzyć rowerami Polskę, od Półwyspu Helskiego po Śnieżkę – najwyższy szczyt Karkonoszy. Odwieczny dylemat pozostawał bowiem niezmienny: „Wakacje w górach czy nad morzem?”. Po co wybierać?!

ADOBE STOCK (3), SHUTTERSTOCK, POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

Pojedźmy tu i tu! Tym bardziej że przygoda tak naprawdę kryje się tuż za progiem domu. Każdy dzień spędzony w drodze zdawał się dla nas wszystkich sprawdzianem i testem: umiejętności adaptacji, cierpliwości i wytrzymałości. Czy udało się go zdać? Pierwsze dni zawsze są najtrudniejsze. To właśnie wtedy organizm przyzwyczaja się do wysiłku, a większość z powtarzanych czynności podlega naturalnej automatyzacji. Szczęśliwie okres aklimatyzacyjny przypada nam na Półwysep Helski. Leniwie, jak przystało na wakacje, pokonujemy kolejne kilometry: Hel, Jurata, Jastarnia czy Chałupy – dla mnie i dla Agnieszki to czas przywoływania dziecięcych wspomnień, dla chłopców zaś to absolutna nowość przyprawiona morską bryzą i zapachem ryb z wszechobecnych smaźalni.

#### CO SIĘ W NOGACH

Przyjemny czas dobiega jednak końca, gdy po opuszczeniu Władysława

mierzymy się z piaszczystymi ścieżkami Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. To właśnie tutaj po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że wyprawy rowerowe z dziećmi niczym nie ustępują tym, w trakcie których samotnie przemierzasz pustynie czy wysokie góry. Potrafią być równie wyczerpujące fizycznie i psychicznie, wymagając przy tym nieraz dużo bardziej zaawansowanej logistyki. Szybko dociera do nas, że wstępny szkic trasy, który nakreśliłiśmy przed wyruszeniem z domu, przestaje mieć jakiegokolwiek racje bytu – zastępujemy go spontaniczną improwizacją. Wybór trasy nie zawsze jest oczywisty, jedno jest jednak pewne: mówimy stanowcze NIE wszystkim drogom z natężonym ruchem. Na przeciwległym biegunie są jednak leśne ścieżki, które sprawiają, że pokonanie 25 km w ciągu doby stanowi nie lada wyczyn. Ostatecznie i tak

decydują chłopcy, bo to właśnie z ich perspektywy staramy się obserwować świat – jeśli potrzebują przerwy, robimy ją i odwiedzamy kolejny wiejski plac zabaw, jeśli śpią, pedałujemy co sił w nogach, nadrabiając kilometry. Dzięki tej taktyce po kilku dniach jazdy na południe od Trójmiasta docieramy na Kaszuby, a następnie Kociewie. Wszyscy jesteśmy tu po raz pierwszy i niemal natychmiast ulegamy urokowi rozległych, porośniętych kwiatami pól poprzetykanych licznymi jeziorami. Na brzegu jednego z nich – Strzeklińskiego – rozbijamy nasz namiot. Sielską atmosferę ciepłego wieczoru mącą jedynie roje komarów. Na turystycznej kuchence przygotowujemy kolację. To niestety jeden z nielicznych pogodnych wieczorów w trakcie tej wyprawy.

**GDY PADA, DZIECI SIĘ NIE NUDZĄ**  
Deszcz szalenie komplikuje logistykę podróży z dziećmi. Niestety czerwiec i lipiec tego roku obfitują w ulewy i burze. Gdy docieramy do Bochlina, suche schronienie zapewnia nam gospodarstwo agroturystyczne Toskania Kociewska prowadzone przez naszych przyjaciół – Sarę i Arka. To właśnie tutaj świętujemy urodziny Franka – jest tort z trzema świeczkami, pyszne sezonowe truskawki, a jako zwińczenie wszystkich atrakcji – przejażdżka na osiołku, o której długo marzył. Gdy tylko zza chmur nieśmiało wygląda słońce, ponownie wsiadamy na rowery – naszym drogowskazem staje się królowa polskich rzek – Wisła. Pośród drewnianych domów na Żuławach wyczuwamy zapach historii – wybudowali je mennonici, którzy przybyli do Polski w XVI w. Wiele z nich po dziś dzień ma swoich mieszkańców, na przykład we wsi Mątawy, przez którą przejeżdżamy, poruszając się Wiślaną Trasą Rowerową. Tuż za Gniezmem „pęka” pierwsze 500 km jazdy. Nasz entuzjazm skutecznie chłodzi jednak strugi lodowatego deszczu. Mamy dość. Po dotarciu do Poznania decydujemy

się nieco przyspieszyć, wsiadając do pociągu jadącego do Wrocławia. Dolny Śląsk spośród wszystkich miejsc na trasie znamy najlepiej – tutaj mieszkamy. Mimo wszystko zarówno na nas, jak i na chłopakach miejsca takie jak bazylika w Krzeszowie czy Jezioro Lubachowskie, gdzie pływamy kajakami, robią spore wrażenie. Nie zraża nas nawet niezliczona

ilość stromych podjazdów, którymi docieramy do wrót Karkonoszy – Karpacza. Stąd już jak na dłoni widać nasz cel – Śnieżkę.

**TO, CO MA PRAWDZIWA WARTOŚĆ**  
Ostatnią noc wyprawy znów spędzamy w namiocie. Tutaj wszystko ma swoje miejsce – dokładnie tak jak w bezpiecznym domu. Ponadto namiot

w minimalnym stopniu oddziela nas od zapachów, dźwięków, wiatru czy deszczu. Dla Ernesta i Franka spanie w nim stało się całkowicie naturalne, jak gdyby robili to od urodzenia. Ma to dla nas wielką wartość, bo z zapałem próbujemy w nich zaszczepić naszą pasję do przebywania na świeżym powietrzu: dzikiej natury, biwaków, ognisk, wspinania na drzewa, górskich

wędrówek czy kajakowych spływów. Jako rodzice podejmujemy jednak decyzje za nich, zastanawiając się, czy aby warunki, w których przebywamy, nie są dla nich zbyt trudne. Obserwowanie, jak sobie radzą, budują swą niezależność oraz wiedzę o otaczającym ich świecie, od początku było dla nas najlepszą nagrodą za wszystkie wyrzeczenia. Oczywiście,

nie obyło się bez trudnych momentów, gdy byli zmęczeni, znudzeni lub chorzy. To wszystko jednak zawsze stanowi nierozwalną część podróży, nie tylko tych z dziećmi. Gdy po przejechaniu ponad 800 km i wspólnym wejściu na Śnieżkę kończymy podróż przez Polskę, czuję, że Agnieszka, Franek i Ernest zdali ten swoisty test wzorowo. Tylko ja zasłużyłem na słabą trójkę. ■



Wysokogórskie  
Obserwatorium  
Meteorologiczne  
na Śnieżce  
(1603,3 m n.p.m.).



Dwa nieczynne mosty kolejowe z lat 1917-1918 w Stańczykach to miejsce lubiane przez miłośników bungee jumping. Konstrukcja jest 3-przęsłowa, wysoka na 36,5 m, długa na 180 m.

TEKST BARTEK KAFTAN

# Pruskim szlakiem

WRAZ Z TATĄ JEDZIEMY ROWERAMI PRZEZ DAWNE PRUSY: KRAINĘ UTKANĄ Z ZIELENI, BŁĘKITU NIEBA I CZERWONEJ CEGŁY. NASZA TRASA LICZY 550 KM.

**K**ościół wydaje się za duży. Mury zbyt potężne, łuki okien – nazbyt strzeliste. Kolegiata św. Mateusza to największa świątynia Żuław. Przed chwilą minęliśmy też ceglany komin zabytkowego browaru, za moment ujrzymy wieżę dawnego kościoła ewangelickiego na otoczonym kamieniczkami rynku. Sporo tego jak na niewielki Nowy Staw, miasteczko pośród żuławskich łąk, o którym – wstyd przyznać – nigdy nie słyszałem. Chyba nie tylko ja, bo poza nami nie ma tu żywego ducha. W Malborku, gdzie

**Podczas wycieczek po pograniczu staramy się jechać jak najbliżej słupków – polnymi duktami, ścieżkami, czasem przez łąki.**



Ryba z frytkami – popularna nie tylko w barach Wielkiej Brytanii. Jak się okazuje – również na Warmii i Mazurach.

godzinę wcześniej rozpoczynaliśmy podróż, kłębiły się tłumy. Krzyżacki zamek – jak co lato – przeżywał oblężenie. A w Nowym Stawie – pusto. Tak będzie przez cały tydzień: nas dwóch, dwa rowery, droga, horyzont i mnóstwo do odkrycia. Ahoj, przygodo!

#### ZYGZAKIEM, ZYGZAKIEM

Kilkanaście lat temu wyruszyliśmy z tatą rowerami wzdłuż wschodniej granicy Polski. Podczas dwóch eskapad przejechaliśmy ją od Przemyśla po Wiązajny. Poznawaliśmy mozaikę kultur: białoruskiej, ukraińskiej, żydowskiej, polskiej, tatarskiej, litewskiej. Teraz ruszamy przez pogranicze północno-wschodnie i ta podróż też będzie wielokulturowa. Zaczynamy na Żuławach, tropem osadników z Niderlandów i Niemiec. W Marynowach mijamy domy podcieniowe, za Tują pedałujemy nasypem kolejki, która przewoziła niegdyś mleko pasących się na łąkach krów. W Marzęcinie podziwiamy kościół ryglowy oraz ceglane mury pośród zieleni na krańcu wsi. Wyglądają jak ruiny twierdzy – swego czasu była to pewnego rodzaju budowla obronna. To jedna z setek słuz, za pomocą których – a także zastawek, pomp, wrót powodziowych – osadnicy wyrwali morzu kolejne hektary, a potem chronili zdobyty teren przed zalaniem. Spora część Żuław to depresja, a najniższy położony punkt w Polsce, nieco ponad 2 m p.p.m., znajduje się na okolicznych łąkach. Na najdziwniejszy z hydrotechnicznych zabytków regionu natykamy się w Nowakowie. Przed mostem na rzece Elbląg stoi znak „Jazda zygzakiem” z instruktażowym szlaczkiem. Drewniana nawierzchnia ma swoje



Zamek w Malborku powstał na prawym brzegu Nogatu od 1280 r. do połowy XV w. Przez blisko 150 lat tu rezydowali wielcy mistrzowie zakonu krzyżackiego.

lata i tak ponoć jest bezpieczniej. Ale to nie wszystko: pontonowa przeprawa jest obrotowa. Pordzewiały szlaban został właśnie zamknięty, kupujemy więc w GS-ie oranżadę i zasiadamy, by podziwiać spektakl. Jeden operator wyciąga spomiędzy desek sworzeń, drugi uruchamia silnik i... odpływa przęsłem na bok. – Tu wszystko będzie inaczej – zagaduje nas stały klient popijający piwo przed sklepem.

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK, POPRZEDEK STRONY: ADOBE STOCK

– Przekop mierzei robią, tor wodny wytoczają – kreśli w powietrzu ambitne plany. Kiwamy głowami, ale ciężko sobie wyobrazić pełnomorskie statki wśród szuwarów. Patrzymy na kilka przepływających żaglówek i statecznie zamykający się most, żegnamy się i ruszamy dalej. Przepisowo: zygzakiem. Na plaży w Suchaczu wakacyjny surrealizm. Słońce srebrzy taflę Zalewu Wiślanego, pluszczą fale,

zespół przygrywa sanatoryjne szlagiery, kilka par tańczy weselnym krokiem. A tuż obok powoli trawą zarasta... kolejowy peron. Jeszcze stoi tabliczka z nazwą stacji, jeszcze leżą szyny – i choć ciągną się z Elbląga aż do Fromborka, to żaden pociąg już tędy nie pojedzie. Nie mieści nam się w głowach, jak można było zlikwidować taką linię! Tory wiodą brzegiem zalewu, stacyjki znajdują się tuż nad wodą.

Przed wojną zajeżdżał tu ze świstem parowóz, z wagonów wysypywali się plażowicze w pasiastych kostiumach, po chwili zanurzali się w wodzie. I zamiast keyboardów przygrywała im orkiestra dęta. Riwierę nad zalewem upodobał sobie cesarz Wilhelm II. W pobliskich Kadynach podziwiamy jego rezydencję z przełomu XIX i XX w. Znać monarszy rozmach: jest tu pałac z folwarkiem, gorzelnia,



Wybudowana w 1811 r. piramida w Rapiju to grobowiec rodzinny pruskiego rodu von Fahrenheidów.

szkoła i cała wieś z domami z cegły i muru pruskiego wzdłuż lipowej alei. Nie zachowała się budka strażnika, którą cesarz kazał postawić przy 700-letnim dziś Dębie Bażyńskiego, ale drzewo na szczęście wciąż rośnie. Pruską elegancją ujmuje nas też pobliskie Tolkmicko. Zajeżdżamy na plażę przy porcie rybackim: świeżo wybrzonowaną, z ceglana restauracją. Zasiadamy na tarasie, zamawiamy kawę i gofry. Poza nami nie ma nikogo, choć to środek wakacji. Turystów spotkamy dopiero we Fromborku – tylko dlatego, że przyplłynął tramwaj wodny z Krynicy Morskiej. Wjeżdżamy na Wzgórze Katedralne i zwiedzamy gotycką świątynię, której nowoczesny nagrobek Mikołaja Kopernika nie dodał niestety uroku. Za Fromborkiem szlak wyprowadza nas na wał. Po lewej mamy srebrzącą się taflę zalewu, po prawej – zieloną taflę łąk. Kilka przycupniętych na pagórku domów przybrzeżnej wsi Różaniec wygląda jak osada rozbitków na wyspce. Ale klimat końca świata czujemy nieco dalej, gdy odbijamy w dróżkę wzdłuż rzeki Pasłęki, do wsi o stosownej nazwie Ujście. Ot, kilka domków i łodzi rybackich, postrzępione chorągiewki powiewają wśród olch i trzciny. Siadamy na końcu cypla. W oddali majaczą wieże fromborskiej katedry, na wprost zielony pas mierzei, po prawej boja – a tuż za nią niewidzialna linia, za którą zalew zmienia nazwę na Kaliningradzki.

#### WPUSZCZENI W ŁUBINY

Podczas wycieczek po pograniczu staramy się jechać jak najbliżej słupków – polnymi duktami, ścieżkami, czasem po prostu przez łąki. Tutaj jest to trudne. Pierwszą przeszkodę stanowią rzeki – większość płynie na północ i musimy je jakoś przekroczyć. A choćby na Banówce, godzinę jazdy od Braniewa, pierwszy most jest prawie 10 km od granicy. Podobnie będzie nad Łyną czy jeziorem Oświn koło Węgorzewa. Drugi kłopot to znikające drogi.

SHUTTERSTOCK (2)

Kawałek za wsią Żelazna Góra wjeżdżamy duktem w las. Po kilku kilometrach trakt zawraca i kończy się nagle na błotnistej porębie. Patrzymy na mapę – poczciwą sztabówkę, bo jesteśmy wierni papierowi i z GPS-u nie korzystamy – wedle której droga miała wieść prosto, do leżącego za lasem Jachowa. Leśnicy nie dość, że wycięli hektary boru, to jeszcze całkowicie zniszczyli dawne trakty. Zamiast nich wytyczyli szutrowe autostrady, ale wiodące nie od wsi do wsi, tylko od szosy do poręby. Nie raz jeszcze się okaże, że nowy leśny ład nijak ma się do świata wiecznionego na naszych mapach. Przedzieramy się przez błoto, krzaki, dziurawą miedzę przez pole łubinu po pas. Zbliżamy się do Jeziora Głębockiego – jednego z nielicznych na trasie, bo północne rubieże Mazur nie mają w sobie nic z pojezierza. Wskakujemy do wody, zmywamy z siebie polny kurz, potem na plaży wyciągamy z sakwy kawiarkę, palnik, gaz. Przy plenerowym espresso wykroty szybko idą w niepamięć. Gdy tylko ruszamy, zatrzymuje nas straż graniczna. Omawiamy z parą funkcjonariuszy dalszą trasę; delikatnie, acz konsekwentnie, próbują skierować nas na południe, byle dalej od kreski oznaczającej koniec państwa. Takie kontrole przechodzimy potem codziennie. O jeździe od słupka do słupka nie ma mowy – na wiodących ku granicy drogach zakazy wjazdu stoją tuż za ostatnimi zabudowaniami, czasem nawet 2–3 km od samej linii granicznej.

#### PORTRETY BOGA

Na południe odbijamy też co wieczór – z powodów logistycznych. Jedziemy bez namiotu, na lekko – kawiarka to jedyna ekstrawagancja – i śpimy w kwaterach. A te znajdują się głównie w miasteczkach, nieco dalej od granicy. Tak trafiamy do Górowa Iławckiego, które w centrum ma spory staw, a obok, na wzgórzu, krytą rudymi dachami starówkę. Brukowany podjazd na rynek daje nam w kość, w nogach

W Kadynach pod Elblągiem od 1898 r. istniała manufaktura ceramiki, powstała na rozkaz cesarza Wilhelma II. Dziś można ją zwiedzać.



Ceramika z Kadyn to majolika – rodzaj bogato zdobionego fajansu. Produkowano z niej naczynia, a także płaskorzeźby.

mamy dziś ponad 80 km, ale na widok kamieniczek i ratusza zapominamy o piekących łydkach. Wisienkę na torcie, cerkiew Podwyższenia Krzyża Świętego, zostawiamy na kolejny dzień, licząc, że po porannej mszy uda nam się zajrzeć do środka. – Wchodźcie, proszę, dla wszystkich otwarte! – wita nas nazajutrz kościelny. Wypyujemy go o świątynię, która nijak na cerkiew nie wygląda. To wielki gotycki kościół z czerwonej cegły. – Zbudowano go w XIV w. Najpierw służył katolikom, potem protestantom, a od kilkudziesięciu lat nam, grekokatolikom – opowiada mężczyzna. Po II wojnie światowej z Prus Wschodnich wysiedlono Niemców, a na ich miejsce sprowadzono Ukraińców wygnanych w ramach akcji Wisła z Beskidu Niskiego

Zabytkowy folwark w Kadymach to dziś luksusowy hotel ze spa.



i Bieszczadów. Ostatnie ewangelickie nabożeństwo odprawiono w Górowie w 1961 r., potem 20 lat kościół stał pusty. – Gdy przekazano go nam, był w ruinie. Zniknęła ambona, emporia. A malowidło na suficie? Szkoda gadać! – wzdycha kościelny. Nad nami otwiera się iluzjonistyczne niebo, w którym trwa właśnie Sąd Ostateczny; tuż obok Morze Czerwone rozstępuje się przed Mojżeszem, Adam nieopatrznie przyjmuje od Ewy jabłko. Po pięcioletniej konserwacji barokowa polichromia znów zachwyca. Wcześniej w świątyni pojawiły się inne malowidła. – Na początku niektóre parafianki narzekały, że zaplącą z własnej kieszeni, żeby tylko to przemaalować. Ale teraz wszyscy je polubili – uśmiecha się kościelny. Ikonostasowi Jerzego Nowosielskiego daleko do tradycyjnej cerkiewnej estetyki. Chrystus Pantokrator, Matka Boska, św. Mikołaj mocnymi plamami odcinają się od białego tła i kojarzą raczej z minimalistyczną abstrakcją albo prymitywizmem. I świetnie pasują do gotyckiej cegły i unoszącego się w górze baroku. Ot, magia pogranicza! Większość regionu nie miała tyle szczęścia

co górowiecka świątynia. To kraina ruin i okruchów, z których – niczym domorośli archeolodzy krajobrazu – próbujemy złożyć pejzaż dawnego świata. Do Sępolicy wjeżdżamy przez wyrwę w średniowiecznych murach, w Asunach mijamy omszały most i gotycki kościółek, dziś także zamieniony w cerkiew. Niszczące majątki i folwarki trudno spamiętać. Z pałacu w Mieduniskach Wielkich zostały fasada i las kominów strzelających ponad nieistniejący dach. W Uźbalach droga z pruskiego bruku i peerelowskiej trylinki prowadzi dosłownie przez środek folwarcznego podwórza. Mijamy też resztki utopii: w Zabroście Wielkim jedziemy przez modelową wieś zbudowaną po I wojnie światowej wedle projektu berlińskiego architekta. Na moście nieopodal Brzeźnicy przystajemy nad Kanałem Mazurskim. Oparci o stalową kratownicę patrzymy, jak nieziszczony sen o połączeniu wielkich jezior z Bałtykiem rozplywa się w morzu trzciny. Naszymi przewodniczkami bywają rośliny. Szpalery lip czy topoli przy polnych drózkach przypominają, że to dla pańskich powozów, a nie traktorów czy rowerów wytyczono

te aleje. Na łące pod Judytami stoją rozłożyste dęby – pewnie parkowe solitery posadzone dobre 200 lat temu przez jakiegoś dziedzica z nadzieją, że jego praprapraprwnuk będzie w ich cieniu spacerował z ukochaną. W lasku pod Garbnem już tylko dywan barwinków prosi o modlitwę za zmarłych. Po dawnym cmentarzu nie został poza nimi niemal żaden ślad – wśród pni znajdują tylko fragment przedzwiązłego krzyża. Czasem zaś echa przeszłości trwają w nazwach. Mołtajny, Aptynty, Arklity, Momajny – wymawiamy niczym zaklęcia, przywołując duchy mieszkańców: i Niemców, i tych dawniejszych: pogańskich Prusów. Współczesnych pograniczników spotykamy z rzadka – wsie są rozrzucone, nieduże i puste. Towarzyszą nam za to zwierzęta. Bocianów, żurawi i kołujących myszołowów nawet nie próbujemy liczyć – to nasi najwierniejsi kompani. Na parującym po letniej ulewie uroczysku pod Bezledami z zagajnika wychodzi nam na spotkanie łoś, w Puszczy Rominckiej przez drogę przebiegają jelenie. Na chwilę zastygają, obracają smukłe głowy i czmychają w knieję. Poza nimi w największym lesie na trasie nie spotykamy nikogo. W Stańczykach, na wschodnich obrzeżach puszczy, całkiem inny świat. Parking, gwar, bilety, budka z pamiątkami, zapach pieczonych kiełbasek. I kilkudziesięcioro turystów – tłum! Ktoś pozuje do zdjęcia, z rykiem silników zajeżdża grupka motocyklistów. Zdejmują kaski, podchodzą do słynnych mostów, zadzierają głowy, my wraz z nimi. Piękne są, bez dwóch zdań! Smukłe, strzeliste, eleganckie. A mimo to nie rozumiemy, dlaczego z całego wszechświata ceglanych cudów, który przemierzaliśmy, taką furorę zrobiły tylko one i oblegany zamek w Malborku. Niespodziewanie to północne rubieże Mazur okazują się najbardziej egzotycznym i najmniej znanym zakątkiem wschodniego pogranicza. ■

ADOBE STOCK (2), SHUTTERSTOCK



XIV-wieczna archikatedralna stoi na Wzgórzu Katedralnym we Fromborku. Tu w 1543 r. pochowano Mikołaja Kopernika.



Na trasie rowerowej przez dawne Prusy niemal co chwilę trafiamy na sielskie klimaty.



TATRY

TEKST KATARZYNA KACHEL

# Tatry

NAWET TATRY MOGĄ BYĆ DOBRE DLA  
POCZĄTKUJĄCYCH ROWERZYSTÓW.

W Dolinie  
Chochołowskiej  
działają  
wypożyczalnie  
rowerów.  
Popularna jest  
trasa m.in.  
od Siwej Polany  
do schroniska  
na Polanie  
Chochołowskiej.



Na szlaku w Dolinie Kościeliskiej. To miejsce dla turystów pieszych, rower irzeba zostawić na parkingu przed wejściem do doliny.



Skocznia Wielka Krokiew to duma Zakopanego. Zimą odbywają się tu zawody Pucharu Świata w skokach narciarskich. Latem skacze się tu na igellcie – specjalnej nawierzchni, którą pokrywa się tory i zeskok.



W stolicy Tatr znajdziemy dziś mnóstwo domów w tzw. stylu zakopiańskim (na zdj.). Pierwszy z nich, willę Kolibę, zaprojektował u schyłku XIX w. Stanisław Witkiewicz.

**W**styd to kraść – święte słowa starego kumpla spadają mi jak z nieba. I rozwiązują dylemat, czy jeżdżenie po Tatrach na elektrycznym rowerze to, mówiąc językiem młodych, „obciach”, czy jednak pochwała technologii. Dlatego bez mrugnięcia okiem korzystam z elektrycznego roweru pożyczonego od córki koleżanki, który wygląda jak większa hulajnoga. Pakuję, co mam pod ręką, i wyruszam z Krakowa w Tatry z przekonaniem, że nie ma nic lepszego nad hipisowski spontan.

**ZA MAŁE KÓŁKA NA DUŻE GÓRY**  
Trasy dla początkujących cyklistów na mapach wyglądają przyjemnie i kusząco. Wybieram Drogę pod Regłami, którą polecają także dla matek z dziećmi w wózkach, licząc po cichu, że chyba nikt nie zgotowały im drogi krzyżowej. Z dworku Zakopane, w którym śpię, pod Wielką Krokiew jedzie się wyśmienicie. Na chodnikach

można poćwiczyć obsługę sprzętu i rozgrzać stawy i mięśnie, co wyjątkowo się przydaje. Majowe Tatry witają mnie bowiem śniegiem i zerową temperaturą, a ośnieżone szczyty wcale nie wyglądają na gotowe do wymiany turnusu z zimowego na letni. Czarna trasa zaczyna się od razu pod górkę. Na ścieżce obok ogrodzenia skoczni pełno śliskich kamieni, na których rower tańczy, jak chce. Temperatura rośnie, zwłaszcza gdy pani, która sprzedaje bilety do Doliny Białego, pyta zdziwiona, czy faktycznie chcę na takim małym elektryku dojechać do Siwej Polany. Może jakoś bokiem, po trawie – próbuje pomóc. Nie daję się. Ścieżka wiedzie między ścianą lasu z lewej a pastwiskami i łąkami z prawej. Zamiast pod koła co rusz patrzę na otwierające się widoki na Gubałówkę, której stoki pokryte są łatami śniegu, i wtedy jakoś od razu robi się lżej. Bo łatwo nie jest, kamienie wystają złowieszczo, wysadzając koła roweru z obranego kursu, a wilgotne i śliskie korzenie drzew (rozrosły się skurczybyki bez ładu i składu) nie zawsze da się w porę ominąć. A wtedy ląduje się w błocie to prawym, to lewym butem, dobrze, że nie tyłkiem. Ale jest pięknie, pachnie mokrym lasem, sosnowymi igłami, szumi, no i jest przygoda. Pod górkę włączam wspomaganie, dzięki czemu ja i rower dajemy radę podjechać. Dojeżdżam do baczówki, z której dymi tak, że lecą łzy. Prowadzi ją Jędrzek, który z dziada pradziada wypasa tu owce. Chłop lubi opowiadać turystom, jak to niegdyś w Tatrach bywało, i pokazywać im swoje stado na pobliskiej łące. – Czasami na tej łące pojawiają się też niedźwiedzie – mówi. Jędrkowych owiec pilnuje juhas, bo psy Halny i Suka dziś mają akurat wolne. Wchodzimy do baczówki. Żeby wspomóc i Jędrka, i tradycję, obowiązkowo kupujemy oscypki i bundz. Będą na dalszą drogę. Kawalek za szafasem, tuż naprzeciw wejścia do Doliny ku Dziurze, stoi chałupa słynnego zbójnika Matei, który grabił i baczów, i kupców, a potem urządzał

**Ważne! Turystykę rowerową w Tatrzańskim Parku Narodowym można uprawiać tylko na udostępnionych do tego celu szlakach.**



Nie ma wyjazdu w Tatry bez obowiązkowej wizyty w karczmie. A tam... oczywiście oscypek z grilla.

tu pijatyki. Mawiają, że zbudował ją dla oblubienicy, o którą po jego śmierci toczyły się tutaj prawdziwe wojny. Mijam dom, modląc się, ale nie za duszę łobuza, a o to, by elektryk nie rozleciał się na tych wertepach na kawałki. Niestety za chałupą kończy mi się prąd.

**Z WIDOKIEM NA GUBAŁÓWKĘ**  
Bez wspomagania elektrycznego trzeba wspomagać się czymś innym. A z zysków, które szybko podliczam, są: pobyt w górach, piękne widoki, las, wysiłek, spalone kalorie i to, że nagle przestają myśleć, co tam w pracy, w mieście, w domu i na obiad. Cała głowa skupia się na tym, czy rower się rozleci, czy nie (i trzeba będzie go odkupić), czy się dojedzie, czy nie, czy kamienie się skończą – czy nie. Na dwa pierwsze



Gliczarów Góry  
słynie z fantastycznej  
panoramy Tatr. Przez  
te miejscowości  
biegnie legendarny  
odcinek wyścigu  
kolarskiego Tour de  
Pologne nazywany  
etapem królewskim.

pytania odpowiedź jest negatywna. Po dojechaniu do punktu, w którym skręca się do Doliny Strążyskiej, robię małą przerwę, by się napić, napić się czegoś gorącego i zjeść. Ci, którzy chcą wejść do Strążyskiej, mogą przypiąć rower na parking i wyruszyć kawałek pieszo, podziwiając po drodze okazałe buki. Warto, bo z doliny pięknie widać północną ścianę Giewontu, którą dobrze oglądać, siedząc na Sfinksie (to okazała skałka nazwana tak przez turystów). Ja wciąż mam jednak przed oczami stopnie, które muszę jeszcze pokonać, by kontynuować trasę, taszcząc po nich rozładowany sprzęt. Pocięsza mnie jedynie to, że wychodzi słońce, zieleń robi się soczysta, a wiosna, choć tego roku późniejsza o miesiąc, właśnie nadchodzi.

W Tatrach w ciągu kilkunastu godzin doświadczam niemal każdej pory roku. A że boli tyłek i czasami się zjedzie z niewygodnego siodła w jakąś błotnistą kałużę? Życie. W Dolinie Kościeliskiej jak zawsze tłumy, ale omijam centrum szybko i dojeżdżam do Siwej Polany asfaltową drogą. Tu zamierzam na dziś zakończyć. Wracam na kwaterę. Po drodze zatrzymuję się jeszcze w Sabałowce, drewnianej chacie Sabały, w której można obejrzeć zdjęcia gawędziarza, a przy odrobinie szczęścia posłuchać anegdot o legendarnym bajarzu. Potem odwiedzam sanktuarium na Krzeptówkach, z którego rozciąga się widok na Giewont. Kolejny przystanek urządzam sobie w Zakopanem, w Kolibie – pierwszej willi zbudowanej

w stylu zakopiańskim, zaprojektowanej przez Stanisława Witkiewicza. Na koniec parkuję przy cmentarzu na Pęksowym Brzyzku, gdzie pochowano najznamienitszych obywateli miasta. W hoteliku po powrocie przypominam sobie opis trasy, jeszcze raz w nią zerkam. Fakt, nie zauważyłam wcześniej ostatniego zdania, które brzmiało: *Ze względu na podłoże zaleca się jazdę na rowerze górskim!*

#### SLALOMEM PO CHOCHOŁOWSKIEJ

Nie ma prostszej trasy niż ta z Siwej Polany do schroniska na Polanie Chochołowskiej – czytam blogi kolegów, ale już jakoś z większą ostrożnością. Do kolejnej trasy przygotowuję się profesjonalnie. Rower zamierzam wypożyczyć

ADOBE STOCK

u wylotu doliny. Co prawda górskich elektrycznych nie ma, ale i te, która są na stanie, mają sunąć jak po maśle. Pan z wypożyczalni pokazuje, jak trzymać stopę w pedale, ręce na kierownicy i jak jechać, by sobie tę jazdę ułatwić. Rundka po parkingu wypada niemalże triumfalnie, tak więc mam zielone światło. Górski sprzęt jest nowy, siodełko nie dość, że wąskie, to i twarde, ale na początkowym etapie adrenalina działa przeciwbólowo. Po drodze, która aż do Polany Huciska jest asfaltowa, mijam baczki, punkty z lodami i napojami. Są i oscypki, i chipsy, żętyca i piwo z sokiem. Można też odpocząć w trawie, rozłożyć się na pięknej polanie tuż przy chochołowskim potoku z lodowatą wodą i poopalać, bo dziś

temperatura niemal letnia. Od Huciska droga pnie się do góry, oczywiście po kamieniach. Próbuję manewrować, ale i tak nie jest lekko. Tak więc znów pcham, ale tym razem z dumą. Bo jednak co innego pchać elektryka wyglądającego jak dziecięcy rowerek, a co innego „górala”. Kamienie na szczęście już nie są wilgotne, korzenie też przyjaźniejsze niż wczoraj. Przy schronisku robię reset, zerkam na krokusy, piję herbatę i ruszam w dół. Powrót to już niemal cyrkowa dyscyplina. Zabawa, jak kogoś nie przejechać. Do tego trzęsie bardziej niż pod górkę, trzeba pilnować, by sobie języka nie odgryźć. Końcówka po rozgrzanym asfalcie jest dla mnie jak runda honorowa po wygranym wyścigu, bo jakoś dałam radę.

#### LEGENDARNA TRASA

By zobaczyć jedną z najpiękniejszych panoram Tatr, wybieram się na kawę do Karczmy Widokowej w Gliczariu Górnym. Z jej tarasu jak na dłoni można zobaczyć całe pasmo gór. Biegnie tędy także legendarny odcinek trasy Tour de Pologne, tak zwany etap królewski. To trudna i wymagająca pętla licząca 30 km, ale można spokojnie robić ją etapami, jak koneser, dla smaku. Tak zwana ściana płaczu, czyli kultowy odcinek – Ściana Bukowina – ma nachylenie ok. 22 proc., stoi przy niej nawet pamiątkowy kamień z zatopioną kolarzówką. Może na cześć tych wszystkich, którym udało się ją pokonać w mistrzowskim stylu? Cóż, nad swoim stylem muszę jeszcze popracować. ■

Z WARSZAWY DO GDAŃSKA

TEKST MICHAŁ GŁOMBIOWSKI

# Zielona Siódemka

TEJ TRASĘ Z WARSZAWY DO GDAŃSKA  
WYTYCZYLI SAMI ROWERZYŚCI. MOŻNA  
JĄ PRZEJECHAĆ KAŻDYM ROWEREM.

Stare Miasto  
w Gdańsku jest  
niczym wisienka  
na torcie  
rowerowej  
wyprawy. Na zdj.:  
wieża ratuszowa,  
a w tle bazylika  
Mariacka.



Pomnik Zwycięstwa Grunwaldzkiego na polu bitwy z 1410 r. Tutaj także znajduje się Muzeum Bitwy pod Grunwaldem.



Drewniane moło w dzielnicy Brzeźno w Gdańsku. Ma 136 m długości.



Pałac Opatów w parku Oliwskim w Gdańsku. Jego najstarsza część pochodzi z XV w.

Ścieżką na nadwiślańskim wale w Warszawie razem z bratem i kuzynem wyruszyliśmy w rowerową podróż, którą mieliśmy zakończyć cztery dni później i niemal 400 km dalej na północ, w Gdańsku. Trasa, w którą się wybraliśmy, oficjalnie nie istnieje. Zieloną Siódmką wytyczyli rowerzyści, sprawdzając w terenie, którą drogą najlepiej dostać się z Warszawy do Trójmiasta. Ślad GPS-u jest tylko wskazówką. Można go modyfikować zależnie od potrzeb. Założenie jest jednak proste – szlak biegnie w analogiczny sposób do drogi krajowej numer 7, idąc przez Mazowsze, Mazury i Pomorze. Niemal w całości jest wytyczony po asfaltowych drogach, można go więc pokonać nawet rowerem szosowym. W miarę możliwości wytyczono go mało uczęszczanymi bocznymi drogami. Cyklista o zacięciu sportowym może się pokusić o zrobienie tej trasy „na raz”, większość

osób będzie jednak pedałowac, tak jak my, przez kilka dni. Na płaskich polach Mazowsza jedziemy bez większego wysiłku. Za Modlinem trasa zostawia za sobą ruchliwe drogi i biegnie przez wsie. Wcinamy się w kurpiowskie łąki i szpalery drzew. Na postoje zatrzymujemy się w polach. Siódmka nie ma przeznaczonej dla cyklistów infrastruktury – altanek, ławek, stacji ze stojakami. Dzięki temu jednak ta podróż staje się bliższa dawnemu sposobowi przemieszczania się. Jedziesz, obserwując po prostu krajobraz, a gdy najdzie cię ochota na postój, nie szukasz w aplikacji najbliższego oficjalnego parkingu, lecz rozkładasz się pod najbliższym drzewem. Ta podróż daje nam też sposobność dotarcia do mniejszych miast, do których – gdyby nie rower – zapewne za szybko byśmy nie zawitali. W Mławie można wpaść na chwilę do Muzeum Ziemi Zawkrzeńskiej, którego wystawa prowadzi przez dzieje okolic miasta,

Zielona Siódmka ma dokładnie 382 km i 500 m długości. Biegnie do nadmorskiej Stegny, by tam odbić na wschód, w stronę Gdańska.

poczynając od najstarszych śladów obecności człowieka. W Iłowie – zatrzymać się przy stojącej na szynach zabytkowej lokomotywie Ty45 z 1945 r.

**OSTATNIA BITWA ŚREDNIOWIECZA**  
Im dalej na północ, tym krajobraz robi się coraz bardziej pofalowany. Mazury witają nas plamami zielonych pastwisk i szpalerami kwitnących lip wzdłuż dróg. Jedziemy pomiędzy wiekowymi drzewami, w chłodzie rzucanego przez nie cienia. Nasze tempo zwalnia, wstęgi asfaltu wspinają się na pagórki, by zaraz z nich spłynąć i atakować kolejne wzniesienia. To nie jest oczywiście męka kolarstwa wysokogórskiego, beztraska swobodnego płynięcia zamienia się jednak w niezły wysiłek. Do Grunwaldu dojeżdżamy w niskim świetle zachodzącego słońca. Późnym popołudniem turystów już tu nie ma. We wsi panuje spokój. Kilku mieszkańców siedzi na ławeczce pod sklepem pełniącym też rolę poczty. Czekając, aż jeden z nas zrobi zakupy, ucinamy sobie z nimi pogawędkę. Zagadują o naszą trasę, patrząc z zaciekawieniem na obładowane rowery, kiwają głowami, dodając nam sił do dalszej drogi. Wyjeżdżamy za zabudowania, by spojrzeć na szerokie, lekko pofalowane pole, na którym rozegrała się bitwa z Krzyżakami. Teren jest rozległy, a plenerowa makieta pokazująca pozycje wojsk

oraz pomnik w kształcie chorągwi sztandarowych tworzą odległy punkt na horyzoncie. Historycy nazywają ją czasem ostatnią wielką bitwą średniowiecza. Walka pomiędzy wojskami polsko-litewskimi a Krzyżakami trwała prawie cały dzień, a żołnierze siekali się mieczami i toporami, niemal bez użycia artylerii czy ciężkiego sprzętu. Hołubione przez nas do dziś zwycięstwo pod Grunwaldem było ogromnym sukcesem, ale nie zmieniło za bardzo dziejów tej części Europy. Polakom nie udało się rozbić krzyżackiego zakonu ani zdobyć później zamku w Malborku. Z pewnością jednak zyskaliśmy prestiż w oczach europejskich królestw i księstw. Co ciekawe, mimo rangi bitwy pod Grunwaldem archeolodzy nigdy nie przebadali dokładnie jej terenu. To pole wciąż może kryć wiele niespodzianek. Pod wieczór porzucamy Zieloną Siódemkę, by odbić w kierunku Wzgórz Dylewskich. Tylko tam znaleźliśmy bowiem wcześniej nocleg. To dodatkowe kilkanaście kilometrów, które szybko zaczynamy czuć w nogach. GPS się gubi, wyprowadzając nas w złym kierunku, musimy się cofać, a później wjeżdżamy w idącą lasem szutrową drogę. Nawierzchnia jest rozmyta po ulewie sprzed kilku godzin. Zapada zmierzch, a gęstniejącą ciemność z trudem rozświetlają wąskie smugi naszych lampek. Ostatnie kilka kilometrów okazuje się stromym podjazdem leśną drogą tonącą w potokach deszczówki. Milkniemy, próbując zachować resztki sił na zmagania z podjazdem i nawierzchnią. Miejscami musimy prowadzić rowery. Ciszę przerywa syk aerozolu przeciwko komarom, które zwietryły w naszej obecności wieczorną ucztę. Gdy w końcu docieramy do agroturystyki, mamy w nogach grubo ponad 130 przejechanych kilometrów. Zostawiamy rowery w altance i idziemy do pokoju, powoli, sztywno stawiając kroki. Zapadamy w fotele, a gdy próbuję przypomnieć sobie miejsca,



Bydąc w Elblągu, warto się wybrać w rejs po rzece o tej samej nazwie w stronę jeziora Druzno.

przez które przejechaliśmy na początku dnia, zdają mi się jakąś odległą historią.

#### WIATR OD MORZA

Po męczącej końcówce wczorajszego dnia zjazd do Paślęka okazuje się podarkiem niespodziewanie podsuniętym przez los. Dziękujemy w duchu, że robimy tę trasę w tym

kierunku, gdybyśmy bowiem poruszali się z Gdańsk do Warszawy – co przecież też jest możliwe – zamiast kilku minut ekstatycznego pędu mielibyśmy przed sobą najtrudniejszy podjazd na trasie. Tak jednak, na opustoszałej jezdni, mkniemy w dół, miękko wchodząc w łuki drogi i osiągając chwilami prędkość 80 km/h.

SHUTTERSTOCK

Jeżdżnia opada gwałtownie na długim odcinku, rowery mają więc okazję do nabrania pędu. Opieram lekko palce na manetkach hamulców, ale tylko dla poczucia własnego bezpieczeństwa, by móc ich szybko użyć w razie konieczności. Ten zjazd jest niczym swobodny lot. Wiatr wyciska łyżę z oczu, a adrenalina zalewa ciało. Obraz

drzew i mijanych domów rozmywa się w długie niewyraźne smugi. Zanim dotarliśmy do tego miejsca, Zielona Siódemka poprowadziła nas przez rozbujaną w wakacyjnym hedonizmie Ostródę, a później przez krainę poukrywanych pomiędzy wzgórzami jezior. Niemal do Paślęka trasa biegnie ruchliwą drogą krajową, co oznacza

konieczność klejenia się do pobocza – samochody mijają nas o centymetry, wprowadzając rowery w niebezpieczne chwianie się. Zatrzymujemy się na chwilę, by sprawdzić w telefonach, czy nie da się uciec gdzieś w boczne drogi, ale okazuje się, że na tym odcinku ich po prostu nie ma. Te kilkadziesiąt kilometrów jest więc najstąbszym



Co roku w rocznicę zwycięstwa wojsk polskich i litewskich na polach grunwaldzkich odbywa się inscenizacja bitwy.

z ogniw tworzących całą trasę. W końcu docieramy do historycznej Pomezanii i na skraj Wysoczyzny Elbląskiej. Teren stopniowo się wypłaszcza, by rozlać się w końcu w szeroką płachtę Żuław Wiślanych. Jesteśmy na terenie depresyjnym, leżącym poniżej poziomu morza. Obecność Bałtyku – wciąż oddalonego od nas o blisko 100 km – czuć już w powietrzu. Morska wilgoć osiada na skórze, pozostawiając chłodny, lekko słony ślad. Wiatr idący znad morza dociera aż tutaj, uderzając nas w twarz i stawiając opór rowerom. Trasa wraca na boczne dróżki. Jedziemy bez pośpiechu. Ulice wytyczono niemal w linii prostej, każde nadjeżdżające auto widać już więc na horyzoncie. Przekraczamy kolejne mostki, zatrzymując się przy żelaznych słupach na wąskich kanałach.

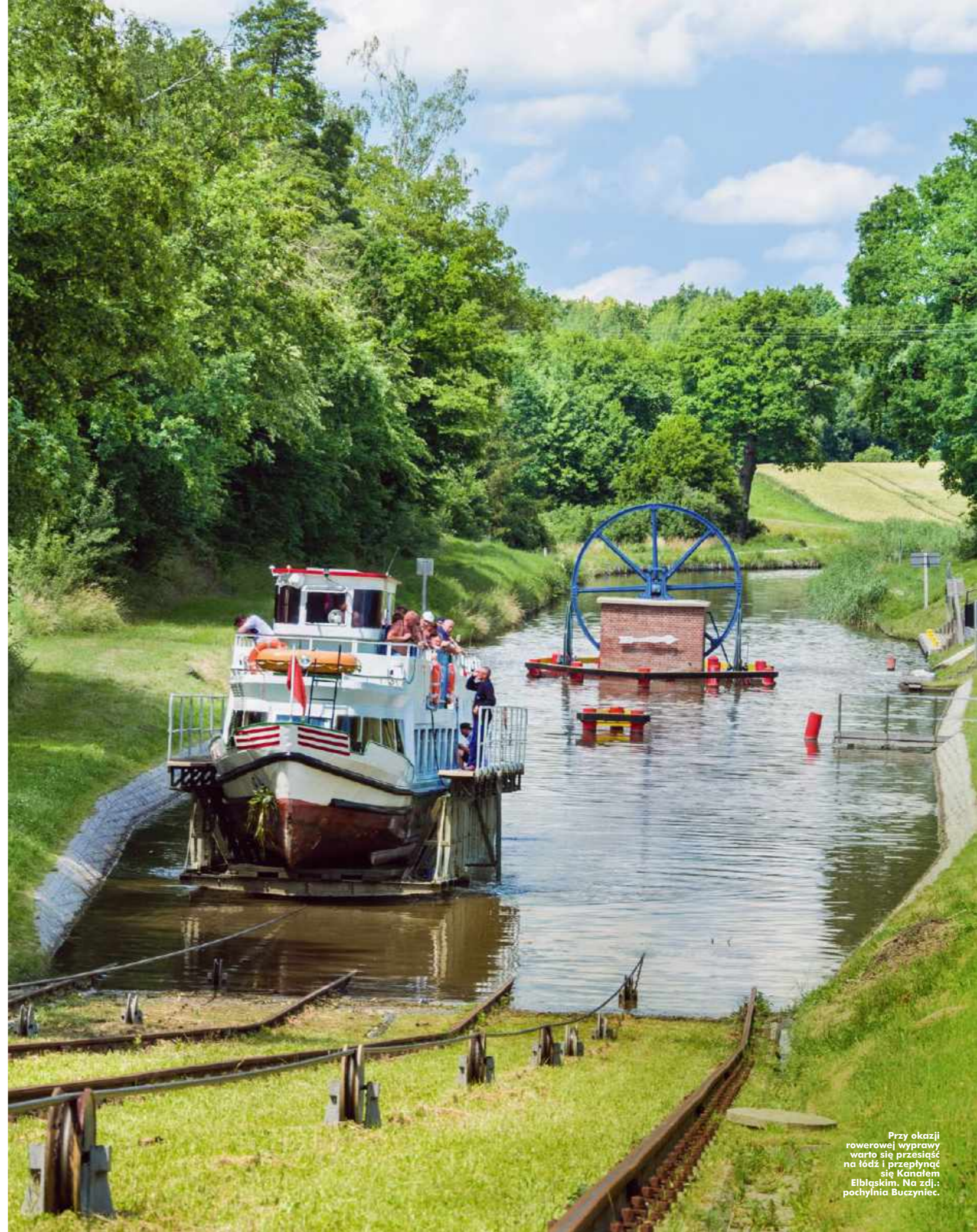
#### GOŚCIE Z NIDERLANDÓW

Teren Żuław zmeliorowali menonici – przedstawiciele jednego z powstałych

w Niderlandach w XVI w. odłamów Kościoła katolickiego. Nieuznający żadnego formalnego zwierzchnictwa uciekli przed prześladowaniami do Rosji oraz na nasze Żuławy. Zostali tu aż do końca II wojny światowej. Stworzyli imponujący system kanałów odprowadzających wodę, dzięki czemu Żuławy stały się ziemią rodzącą plony na potęgę. Po obecności menonitów pozostały do dziś ich cmentarze z kamiennymi nagrobkami i charakterystyczne domy podcieniowe. Oraz ser werderkäse, który można kupić m.in. w Żuławskim Domu Sera w Żelichowie-Cyganku. Robi się go w niewielkich ilościach, według tradycyjnej receptury odtworzonej na podstawie pism oraz świadectw mówionych. Podjadamy go pokrojonego w grube plastry. Jest wyrazisty i ostry w smaku, idealnie regeneruje nadwątlone jazdą siły. Jadąc dalej, przez łąki i poruszane podmuchami wiatru łany zboża, mijając szpalery

niskich wierzb, docieramy w końcu do bałtyckiego wybrzeża. Siódemka idzie do nadmorskiej Stegny, by tam odbić na wschód, w stronę Gdańska, trzymając się już do końca samego wybrzeża. Trafiamy na sezonowy rozgardiasz, naszą szutrową ścieżkę biegnącą przez sosnowy las przecinając co jakiś czas grupki letników zmierzających z okazałym ekwipunkiem ku plaży. Mimo to jedzie się dobrze – wzdłuż wybrzeża, w okolicach Trójmiasta infrastruktura rowerowa jest doskonale przygotowana. Do samego Gdańska prowadzą nas już odseparowane od ruchu samochodowego ścieżki dla jednoślądów. Pozostaje jeszcze przekroczyć Wisłę. Wjeżdżamy więc na pokład kursującego przez cały dzień małego promu. Przez kilka minut tej przeprawy patrzą na nurt rzeki, przy której brzegach cztery dni temu blisko 400 km stąd rozpoczęliśmy naszą rowerową eskapadę. ■

ADOBE STOCK (2)



Przy okazji rowerowej wyprawy warto się przejechać na łódź i przepłynąć się Kanalem Elbląskim. Na zdł.: pochylnia Buczyńiec.



Droga rowerowa nad Zatoką Skoszewską (Zalew Szczeciński).



Wybudowany w połowie XIX w. Kanał Elbląski od 2011 r. jest oficjalnie nazywany pomnikiem historii.



## SZLAK KANAŁU ELBLĄSKIEGO

WARMIA I MAZURY

Szlak rowerowy, który poprowadzono wzdłuż wyjątkowego Kanału Elbląskiego, to jedna z zaledwie kilku tras w Polsce, dla których inspiracją jest historyczne dziedzictwo regionu. Te 90 km może być zarówno jednodniowym wyzwaniem, jak i okazją do spędzenia w naturalnej scenarii Mazur Zachodnich interesującego weekendu. Cudo techniki, jakim

niewątpliwie jest unikatowy system kanałów, słuz i pochylni Kanału Elbląskiego, robi wrażenie na (chyba) wszystkich. Dodatkową atrakcją jest możliwość pokonania fragmentu trasy na jednym z niewielkich statków wycieczkowych. Niestety wśród walorów Szlaku Kanału Elbląskiego brakuje nowoczesnych i wygodnych dróg rowerowych z asfaltową nawierzchnią. Poprowadzono go po lokalnych szosach z niewielkim natężeniem ruchu samochodowego i dobrej jakości drogach leśnych. Trasa w części biegnie również po niepopularnych przez turystów rowerowych płytach typu yomb, które tutaj na szczęście ułożono w poprawny sposób i nie psują przyjemności z jazdy.

TEKST SZYMON NITKA

# Polskie drogi

POZNAJ 9 WYJĄTKOWO CIEKAWYCH TRAS ROWEROWYCH W POLSCE.



## VELO BALTICA

POMORZE ZACHODNIE

Na Pomorzu Zachodnim powstały setki kilometrów doskonałych dróg rowerowych.

Wszystkie połączono w przemyślaną sieć szlaków oplatających całe województwo zachodniopomorskie. Co ważne, nie kończą się one jedynie w tym regionie – są teraz częścią większej całości, na wschodzie łączą się ze szlakami w Pomorskiem, na zachodzie – w niemieckiej Brandenburgii. Najważniejszą trasą jest fragment europejskiej EuroVelo 10, do której

przyłgnęło określenie Velo Baltica. Wiele kilometrów ścieżki wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego zostało w ostatnich latach nie tylko nową asfaltową nawierzchnią, ale także nowe, poprawione przebiegi, które jazdę tu czynią jeszcze przyjemniejszą. Wielu rowerzystów podróżujących po tych okolicach stawia sobie za cel odwiedzenie wszystkich zabytkowych latarni morskich na polskim wybrzeżu. Siadłem z nich znajduje się na terenie Pomorza Zachodniego. Inni odwiedzają bałtyckie porty, wśród których są malownicze przystanie plażowe, jak ta w Chłopach, czy nieco większa – w Jarosławcu. W obu kolorowe kutry rybackie wyciągane są za pomocą lin na plażę. Jeszcze innych motywuje codzienna możliwość kąpieli w morzu i cieszenia się nadmorską, zawsze wakacyjną atmosferą.

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE



## WSCHODNI SZLAK ROWEROWY GREEN VELO

PODKARPACIE

Podkarpacki fragment Wschodniego Szlaku Rowerowego Green Velo należy do najbardziej wymagających z całego, mającego ponad 2 tys. km przebiegu szlaku. Trasa pomiędzy Przemyślem a Rzeszowem uwodzi turystę wspaniałymi panoramami podkarpackich pogórzy: Przemyskiego i Dynowskiego. W tej okolicy Green Velo wykorzystuje

w większości lokalne drogi publiczne o niewielkim natężeniu ruchu. Czasem ucieka na męczącą kamienistą nawierzchnię, choć na szczęście nie pozostaje na niej długo. Start w wielokulturowym Przemyślu przypomina, jak bardzo złożonym organizmem była dawna Rzeczpospolita. Wśród narodów zamieszkujących miasto wymienia się Polaków, Rusinów, Żydów, Niemców, Ormian, Wołochów i Rosjan. Do miejsc, dla których wybiera się tę część Green Velo, należy też m.in. zamek o czterech różnych basztach w Krasiczynie. Obojętnie nie można przejechać też obok temkowskich cerkwi w Krzywcu, Piątkowej i Uluczu. Wycieczkę kończy zachwycający rynek w Rzeszowie, stolicy Podkarpacia.



Położony na frakcie Przemyśl – Sanok zamek w Krasiczynie to perła polskiego renesansu.





Zamek Ogródzieniec to ważny punkt na Szlaku Orlich Gniazd.



## ROWEROWY SZLAK ORLICH GNIAZD

ŚLĄSKIE

Gdyby wśród jurajskich warowni zbudowano szlak rowerowy z prawdziwego zdarzenia i wszystkie przepięknie położone zamki Jury Krakowsko-Częstochowskiej połączono by wygodnymi drogami rowerowymi, z miejsca znalazłby się on w czołówce najbardziej atrakcyjnych tras dla cyklistów w Europie. Lokalne gospodarstwa agroturystyczne

przyjmowałyby na noclegi setki rowerzystów z Europy, a może i świata, dziennie, zamiast utrzymywać się z goszczenia pracowników lokalnych zakładów przemysłowych. Niestety rozwój infrastruktury w tym regionie przebiega niewspółmiernie do jego atrakcyjności krajoznawczej. Na szczęście nie dotyczy to całej Jury. Są miejsca, gdzie powstały naprawdę wspaniałe warunki do rowerowej podróży wśród jurajskich ostańców. Do chlubnych wyjątków zaliczyć trzeba drogi rowerowe w okolicach Złotego Potoku i Żarek. Takimi traktami jak 7-kilometrowy Gościniec Mirowski między Żarkami a Mirowem mógłbym jeździć codziennie. Innymi przykładami dobrze pomyślanych

i przygotowanych, wygodnych tras leśnych są z kolei fragmenty Szlaku Orlich Gniazd koło Złotego Potoku i Ostrężnika. Trzeba przy tym pamiętać, że rowerowa odsłona szlaku ma inny przebieg niż trasa przygotowana dla piechurów. Najistotniejszą różnicą jest jej całkiem inny przebieg na południowym, końcowym odcinku. Piesi wędrują tutaj pod Maczugą Herkulesa w dolinie Prądnika, z kolei rowerzyści mkną doliną Raclawki pod malowniczą Skatą Powroźnikową. Dużą atrakcją tego fragmentu jest odbudowywany właśnie zamek Tenczyn w Rudnie, a także świetna malownicza droga przez Tenczyński Park Krajobrazowy w kierunku Krakowa.



Zalew Polczyn-Zdrój na terenie Drawskiego Parku Narodowego.



## STARY KOLEJOWY SZLAK

WIELKOPOLSKA/POMORZE ZACHODNIE

Szlak, który łączy Wątcz w północnej Wielkopolsce z leżącym nad Morzem Bałtyckim Kołobrzegiem, jest najdłuższą w Polsce trasą rowerową zbudowaną na dawnych liniach kolejowych. Wykorzystuje (ewentualnie będzie wkrótce wykorzystywać) trzy ok. 30-kilometrowe „szlaki zwiniętych torów”. Jednym z nich jest najstarsza

długodystansowa turystyczna droga dla cyklistów w Polsce, powstała ponad 20 lat temu, łącząca zielonym, naturalnym korytarzem Złocieniec z uzdrowiskiem Polczyn-Zdrój. Stary Kolejowy Szlak jest nie tylko doskonałym miejscem na długą jazdę z dala od dużych miejscowości, ale też jedną z najwygodniejszych dróg prowadzących z wnętrza naszego kraju prosto nad Morze Bałtyckie. Może stanowić atrakcyjny wstęp do podróży po nadmorskim szlaku EuroVelo 10. Interesującym przykładem wykorzystania dawnej kolejowej infrastruktury jest budynek dworca kolejowego w Cieszynie, który został ze smakiem wyremontowany i zamieniony w kameralny pensjonat.



## VELO DUNAJEC + SZLAK POPRADU

MAŁOPOLSKA

Liderem w zestawieniach najatrakcyjniejszych szlaków rowerowych w Polsce jest z pewnością Velo Dunajec – szlak rowerowy, który biegnie przy rzece, od której wziął nazwę. Z łącznego dystansu ok. 250 km, jakie dzielą początek szlaku w Zakopanem i koniec niedaleko ujścia Dunajca do Wisły w okolicach Tarnowa, większość trasy biegnie po doskonałych asfaltowych drogach zapewniających niemal sielankową wycieczkę przez Małopolskę. Do tego przeważnie jedzie

się z górki. Podróż rozpoczyna się tatrzańskimi panoramami podziwianymi z Gubałówki, a kończy przejazdami po oryginalnych mostach na Dunajcu i Popradzie budowanych specjalnie dla rowerowych turystów. Najpopularniejszym odcinkiem na szlaku Velo Dunajec jest fragment przy południowym brzegu Jeziora Czorszyńskiego, który wraz z kilkunastokilometrową odnogą położoną na brzegu północnym tworzy prawdopodobnie najczęściej odwiedzaną jednodniową trasę rowerową w Polsce. Potocznie określa się ją mianem Velo Czorsztyn. W pogodne dni ogromne wrażenie robią widoki na okoliczne góry – oglądane właśnie z Jeziora Czorszyńskiego. Charakterystycznymi punktami są tu sylwetki zamków w Czorsztynie i Niedzicy. Kolejnym wybitnie

ciekawym odcinkiem tego rowerowego szlaku jest Pieniński Przełom Dunajca. Uwaga! Najlepiej pokonać go nie na rowerze, lecz... na flisackiej tratwie – tak, nawet z rowerem, którego przewóz znajduje się wśród oferowanych tutaj usług. Fantastycznych widoków z tratwy na pewno nie zastąpią te widziane z biegnącej wzdłuż przełomu trasy rowerowej – a to dlatego, że często przykrywają je gęsto rosnące tu drzewa. Dodatkową atrakcją podróży rowerem przez Małopolskę wzdłuż wód Dunajca może być ok. 100-kilometrowy szlak rowerowy doliny Popradu. To fragment paneuropejskiej trasy rowerowej EuroVelo 11 stanowiący jeden z łączników Velo Dunajec. Podróż wzdłuż Popradu rozpocząć można u stóp Jaworzyny Krynickiej, zaraz po zwiedzeniu muzeum Nikifora Krynickiego w Krynicy Górskiej.



Średniowieczny zamek w Niedzicy stoi na półwyspie, który ostro wrzyna się w Jezioro Czorszyńskie.



## SZLAK WOKÓŁ TATR

MAŁOPOLSKA

Gdyby nie trasa wzdłuż Dunajca, miano najpiękniejszej trasy dla cyklistów w Polsce przypadłoby właśnie Szlakowi wokół Tatr. Jego pierwszy odcinek – od Nowego Targu do słowackiej Trzyciany – powstał w śladzie zlikwidowanej linii kolejowej. Dziś uważa się go za pierwszy przejaw rozwoju nowoczesnej, dostępnej dla wszystkich turystyki rowerowej w Polsce. Dziś ok. 250-kilometrowa polsko-słowacka pętla okrąży już całe Tatry,

inspirując do kilkudniowej przygody z malowniczym krajobrazem w tle. Szlak wokół Tatr wykorzystuje zarówno specjalnie wybudowane ścieżki rowerowe, jak i fragmenty lokalnych dróg dojazdowych do pól uprawnych i publicznych. Co ważne, sukcesywnie powiększa się on o kolejne łączniki, które służą nie tylko rowerowym podróżnikom, ale też podnoszą jakość życia mieszkańców na Podhalu, w Spiszu i na Orawie. Wbrew pozorom wyprawa rowerowa w górach wcale nie musi być trudnym wyzwaniem. Podjazdów pod główny łańcuch Tatr nie trzeba się bać, a już na pewno nie wstydzić się kilkusetmetrowych spacerów. W zamian za nieco odwagi i ambicji szlak oferuje ujmujące górskie panoramy o każdej porze roku.



Bobrowiecki Zleb (część Doliny Choczołowskiej) widziany ze szczytu Grzesia.



Most w Siekierkach, na granicy polsko-niemieckiej, to wielkie ułatwienie dla podróżujących przez ten region turystów rowerowych.



## TRASA POJEZIERZY ZACHODNICH

POMORZE ZACHODNIE

Dawny wojskowy most kolejowy na Odrze Siekierki-Neurüdnitz to początek budowanej wciąż Trasy Pojezierzy Zachodnich. Obecnie zmienia się ona w bardzo efektowny, symboliczny wręcz

sposób. Pieszko-rowerowy pomost pomiędzy Polską a Niemcami, a konkretnie Pomorzem Zachodnim a Brandenburgią, to miejsce, z którego najlepiej podziwiać otaczające go Rozlewisko Kostrzyńskie zajmujące obszar starorzecza Odry. Co ciekawe, renowację niemieckiej części mostu przez kilka miesięcy blokowała rodzina puchacza zwyczajnego, która zamieszkała w jednym z przeseł przeprawy. Cała Trasa Pojezierzy Zachodnich biegnie znad Odry aż do Białego Boru na wschodzie województwa, wykorzystując po drodze

ślady kilku zlikwidowanych linii kolejowych. W miejscu starych podkładów trakcyjnych dziś pojawiają się asfaltowe ścieżki umożliwiające nie tylko uprawianie turystyki rowerowej szerszemu gronu osób, ale też poprawiające bezpieczeństwo mieszkańców Pomorza Zachodniego. Nowy szlak otwiera przed podróżnymi rzadko dotychczas odwiedzaną część Polski – z takimi miastami jak Trzcianko-Zdrój, Myślibórz, Drawsko Pomorskie czy Szczecinek. Ciekawym punktem trasy jest też były garnizon wojsk radzieckich – Borne-Sulinowo.



Gesty sosnowy las to typowy krajobraz Parku Narodowego Borów Tucholskich.



## KASZUBSKA MARSZRUTA

POMORSKIE:  
BORY TUCHOLSKIE

To wciąż fenomen na mapie polskiej turystyki rowerowej, choć ideę jej wykonania mógłby wykorzystać niemal każdy położony na obszarach leśnych powiat w Polsce. Bo drogi biegnące przez bory w okolicach Chojnic, Charzyków czy Męcikału poprowadzono po pasach przeciwpożarowych, a więc wykorzystując już istniejącą leśną infrastrukturę. Trasy Kaszubskiej Marszruty nie posiadają

nawierzchni asfaltowej, a solidnie utwardzoną nawierzchnię szutrową. To nieco obniża ich dostępność dla osób niepełnosprawnych czy użytkowników przyczepki dziecięcych, jednak wszyscy posiadacze klasycznych jednośladów bez względu na wiek powinni być zadowoleni ze stworzonych w Borach Tucholskich warunków. Wśród lokalnych atrakcji znajduje się piękny, choć niewielki Park Narodowy Borów Tucholskich dostępny również dla turystów na rowerach. Zobaczyć warto tu również ogromne połacie lasów zniszczone podczas huraganu w 2017 r. Zaś punktem obowiązkowym na północnym odcinku Marszruty jest galeria rzeźb Józefa Chełmowskiego, zmarłego kilka lat temu artysty, który sam siebie określał mianem Leonarda da Vinci z Kaszub.